

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-
nie rub. 7 kop. 20, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rub. 2 kop 50, rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego:” w Po-
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

ALLELUJA!



Czytelnikom i czytelniczkom naszym
szliśmy starodawnym zwyczajem życzenia
serdeczne. Wobec wielkiej u nas nędzy,
Świąt „wesołych” życzyć trudno — ale ży-
czymy pogody ducha, krzepionego nadzie-
ją i przy wiosnianych świątach uczuć wio-
sny.

Redakcja.



SITIO!



Jutro Wielki Dzień, dzień Zwycięstwa...

Nie będzie ani strzałów armatnich, ani
krzyku, ani mordów, ani grabieży... będzie to
zwycięstwo światła nad ciemnością, wspania-
łe, pełne blasku a kojące wszelkie rany, za-
dane walką namiętności ludzkich...

Chryste! daj, aby ta jasność trwała wiecz-
nie! zapal w duszy każdego światło poznania!
albowiem przyszła chwila, w której nie wie-
my co czynić, a wszystko co nie jest tem,
co jest, wydaje nam się nadzieją!... Chryste!
Ty jesteś życiem, żywotem wiecznym, a my
nie chcemy umierać! Wskresiłeś Łazarza,
gnijącego w grobowym lochu, zwróć oczy
Twoje na nas!...

Święty, Wielki Dzień, dzień tryumfu nad
nocą. Podnieście głowy wszyscy, wszyscy,
dziś noc — ale jutro — Aleluja!

Skarga pomieszana z nadzieją, płynie ze

stron wszystkich... Chrystus zmartwychpo-
wstaje, a w nas zmartwychpowstaje wiara,
zmartwychpowstaje pragnienie życia, zdławio-
ne niedolą, pragnienie ducha...

Miałam widzenie. Nieprzejrzane tłumy sta-
ły na zimnie i słońcu, smagane burzą i wi-
chrem, obolałe, zgnębione... czekały na otwar-
cie świątyni. Czekwały długo, długo, może la-
ta, może dziesiątki lat... Wreszcie świątynia
otwarła się i ludzie wchodzili i wchodzili
do niej bez końca, ci zaś, którzy z niej wy-
szli, zapełniali ulice i place, podawali sobie
ręce, a twarze mieli rozjaśnione i oczy dzi-
wnem światłem płonące. To Chrystus w ich
sercach zmartwychwstał i w duszach ich uczy-
niło się jasno.

Jeden z pozostałych w tyle, zapytał takie-
go, który pokrzepiony był i silny:

— I cóż tam jest, ku czemu tak spieszy-
cie? cóżeście tam czynili?

Ów zaś odpowiedział:

— Słuchaliśmy słowa Bożego...

I szli dalej, a w sercach ich grało wiecz-
nie brzmiące echo słowa: „*Sitio!* pragnę! —
pragnę twej duszy człowiecze! umieram, żeby
ją zbawić, żeby jej dać żywot wieczny... Pra-
gnę, żeby z krwi mojej wyrosła miłość... Pra-
gnę, żeby śmierć moja i męki były przejściem
do spokoju i światła...”

Zofia Seidlerowa.



„ŚWIECONE.”



„...albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to,
aby kto był zdolny *duchem* nakarmić i ser-
ce przelać ogniem, upoiwszy je z palących
kielichów i stawiać *ciągłe świecone* pod nieba
błękitem, i takim jądłem wiązać ludzi, aby
więcej nie rozchodzili się, ale zebrani zostali
wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, któ-
ry karmi...”

Słowacki.

Więc oto... chwila uroczysta...

Od ciszy grobów strojnych zielenią i kwia-
tami... od mroku świątyni, w których żałobą
osłaniają ołtarze Pańskie... od dni pokuty
i rachunku dusz ludzkich... oto odchodzimy ku
chwili weselnej...

Więc zabrzmiała pieśń dzwonów... poruszy-
ły się serca metalowe... rozkołysały fale po-
wietrzne i lecą, płyną, grają wielki hejnał ra-
dości, tryumfu i pokoju...

Osychają łzy ludzkie... Jeszcze drżące kro-
ple smętku i bólu, u powieki zawisłe, zmie-
niają się w łzy radości i wesela... Jeszcze rze-
źbą troski i smętku znaczone czoła ludzkie—
wypogadzają się oto w takiej chwili... Cichną
skargi na ustach, podnoszą się barki pochy-
lone nad pracą mozolną...

Bo oto chwila uroczysta...

Zmartwychwstał Bóg... Zdeptany wróg szczę-
ścia ludzkości...

Więc wstaje dzień święta takiego, które
święci w wyrokach ludzkich dusz drogi...

Świta ranek, który czyni ziemię uświęconą
przez Moc Ofiary i Miłości bezgranicznej.

Splywa z nieba na ziemię jasność nie ga-
snąca i ona stawia *świecone* drogi po obsza-
rach padole, przez które ludzkość ma iść
i życie swe uświęcać.

Więc też Słowacki powiada:

„Nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny *duchem* nakarmić i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem...”

Zaiste!... wielkie by wtedy było zmartwychwstanie wśród społeczeństw i narodów, gdyby zdołano stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, gdyby umiano *duchem* tak karmić, iżby się ludzie nie rozchodzili, lecz skupiali i nie upadali z wyżyny swego posłannictwa, lecz dźwigali w coraz wyższe sfery doskonalenia moralnego...

Lecz oto w takiej chwili podniosłej... nie o tem myślimy...

Zastawiamy *święcone* z jądła i karmimy ciała, nie dusze.

Jest, prawda, w obchodzie naszego *święconego*, staropolskiej tradycji piękno i powaga obyczaju narodowego... jednak... należy do uroczystości onej dodać więcej treści duchowej.

Święcone — powinno się stawać symbolem wszystkich naszych prac i obowiązków jako ludzi i jako duchów, które wszakże nie zgąsną rychło, lecz przez plony prac moralnych stać się mogą zmartwychwstałymi...

Wszystko w życiu naszym powinno być święcone, a wtedy oschną łoża zdroje, zaginą krzywdy i zbrodni posiewy piekielne — zarówno się przepaść czarnych czeluści...

Święcone życie... święcone cele, święcone prace... czy to nie ciągle i wspaniała uczta duszy ludzkiej, która w swym locie ku niebu skrzydeł nie szarga i w swej drodze po ziemi nie gaśnie jako gwiazda strącona?

Zastawiamy stoły suto nakryte... chlubiemy się doborem ciast i mięsów, przygotowujemy win i miodów mnogie zapasy... a tylko czekamy, kiedy dzwony grać poczną, kiedy się

rozkołyszą serca spiżowe, kiedy spłynie jasność promienna z błękitnych wysokości i kiedy kapłan zawoła z radością: Alleluja!...

Witając święto — wyciągamy dłonie do naszych drogich, najdroższych, najbliższych, serdecznych i życząc spełnienia pragnień — dzielimy się święconem.

Rzewna i wspaniała chwila...

Spieszmy nawet oddali niezmiernie wielkiej — nie jeden ptak do gniazda, choć dawno wyleciał w świat, ażeby, gdy na Rezurekcyę dzwony zadzwonią, stanąć obok swoich i święconem się podzielić...

Zbliżają się w takiej chwili do siebie, nie raz i ci, co dość sztywnie i zimno się trzymali a spożywając święcone, czują, jak gdyby sojusz nowy między nimi budzący się...

Lecz to chwila...

Dzień wspaniały, pełen pogody i harmonii... ten dzień, w którym grają wszystkich kościołów dzwony, w którym ziemia ku niebu się zbliża i noc rozpacz zanika... dzień ten wreszcie schyla się ku zachodowi...

Święcone się kończy...

Pustoszeją stoły suto zastawione — ludzie się rozchodzą, przybyli z oddali znów w dal płyną... chwilowo związani sojuszem zgody rozchodzą się znowu... a potem toczy się fala dni powszednich, spokojnie, równo i — smutno...

Święconego *duchem* — święconego miłością, prawdą, poświęceniem, oświęconego pod nieba błękitem, któreby karmiło ludzi tak, żeby się więcej nie rozchodzili — nie ma...

Dlatego ludzkość ślimaczym krokiem wlecze się do wrót doskonalenia się i dla tego jednostki i społeczeństwa jak i narody — cierpią krzywd nie mało...

Po święconem jadle, — po obchodzie tradycyjnym, po uczczeniu święta pełnego radości —

powinny iść dni święcone pracą nad sobą i nad drugimi, złożone wielką miłością ideałów przez Chrystusa nam przekazanych, zastawiające bliższym i dalszym takie święcone ducha, któreby jako balsam na rany cierpień i bólów ziemi wpływało czyniąc trudy lżejszymi, zawody mniej ciężkimi... przewiny mniej czarnymi...

Czy zdaje się to niemożliwym?...

— „I któż jest, coby wam zaszkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie?” — pyta św. Piotr Apostoł, — tak też myśmy rzecz powinni: „ktoż jest, ktoby nam przeszkadzał stawiać *święcone* ducha, myśli i serca... dla nas, dla naszych najbliższych, dla drogich, dla całej ludzkości, która potrzebuje uświęcenia swych czynów i dróg!

Nie trzeba, ażeby nam co dzień grały wszystkich dzwonów serca — wołaniem radoznego Alleluja — bo serce nasze powinno przypominać obowiązek święcenia życia, święconymi czynami.

Nie trzeba, ażeby nam co dzień słońce wstające niesło blask radości i nadziei w serca zmęczone, bo nam myśl każda nasza własna, powinna mówić o tem, czem jest siła ducha karmiącego pokojem i miłością ludzkie serca...

Nie trzeba nam oczekiwanie na jakieś lepsze okoliczności, szczęśliwsze czasy, bo zawsze i wszędzie dobrze czyniąc, będziemy mogli, jeśli zostaniemy naśladowcami dobrego i w Chrystusa wpatrzeni — zastawiać *ciągle święcone* pod nieba błękitem...

Więc oto, gdy chwila uroczysta... gdy od ciszy grobów strojnych zielenią i kwiatami, od mroku świątyń, w których żalobą osłaniają ołtarze Pańskie... od dni pokuty, zbliżamy się ku chwili wesela i radości... Zastawmy wielkie *święcone* ducha i serca, dla

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Długo z przybyciem swoim wahała się wiosna, jakby zapytując wciąż siebie: ma-li przyjsć, czy jeszcze w progach zimowych zostać? ale ostatecznie zwyciężyła dobroć jej, i choć się czasami chmurzy i niestałością pogody zły humor swój pokazuje, już zimnem nie dmucha, mrozem nie trwoży i coraz to lepsze myśli nasuwa o słonecznej jasności dnia jutrzejszego. Późno, za późno może przyszła, lecz za to trwalszy może pobyt jej będzie, a spracowany umysł człowieka zawczasu już myśli o błogosławionym wypoczynku letnim i wszystkie znajome kąty kraju swojego przebiega, gdzieby mógł pograżyć się w morzu ciszy, spocząć na wonnej piersi matki-ziemi i odrodzić się do nowych prac i bólów, bo szczęściem człowieka tutaj jest ten chwilowy spoczynek i świadomość sił, nie pozwalających mu się ugiąć pod czekającym na niego brzemieniem cierpień nowych.

O tym spoczynku pomyślały już, przedwcześnie nawet, niektóre zamożniejsze jednostki społeczeństwa naszego. Zerwały się ze swoich pieleszów rodzinnych... do krajów au-

zońskich, a nie wygnała ich tam konieczność spoczynku po trudach i pracach, lecz owe chmury, które zgromadziły się nad krajem naszym, owe wichry, które wskróś niego przewiały, a przecie z chmury grom może wypaść, wicher burzę przynieść może — i jakże pozostać?... Ani burzy, ani gromu nie będzie — lecz ci uciekinierzy zajęcze serca mają: „gdzie dym, tam i ogień” powiadają, dymy są, gdy lasy płoną i gdy się tli drzazga. Strach ma wielkie oczy — takie wielkie, straszne, a szeroko otwarte... Brrr!... Nad jasny brzeg Rivieri, na ciche wody Wenecyi — uciekajmy! uciekajmy! uciekajmy!...

A kraj wasz?

Wszystkiego dobrego mu życzymy, niech nad nim czuwają wszyscy Święci Pańscy!

Lepsi ode mnie obserwatorzy, stokroć częściej, niż ja, nawiedzający salony domów zamożniejszych, powiadają, że dziwnie opróżniła się Warszawa z tych ludzi, tak bardzo kraj miłujących. Niebyle wcześniej czas ogórkowy się zaczął, zuchowie tacy i w większych siedzibach się znaleźli, „przerażeni „ruchem chłopskim,” który, jak przecie już wiemy, a znając lud nasz, i przedtem wiedzieliśmy dobrze — nie miał w programie swoim nic karygodnego, niebezpiecznego dla zamożnych wsi mieszkańców. Gdyby mniej uczciwy był i uświadomiony, uległby może namowom

warcholskim ludzi złych, bo pokus nie brakło, — ale od wyskoków powstrzymało to właśnie narodowe uświadomienie jego, co nas nie powinno wcale zachęcać — do ucieczki. Coraz częściej powtarzają się głosy o maceniu wody przez naszych sąsiadów zachodnich; niedawno spotkałem kilku właścicieli ziemskich z nad pruskiej granicy, którzy nie zaprzeczyli tym głosom, przeciwnie, zaznaczyli radość nieklamana, jaką serca niemieckie przepełnione były z powodu rozruchów warszawskich, do których ich zacne prawice nie mało się przyczyniły. A oto, na potwierdzenie tego, znajdujemy list pewnego obywatela z Królestwa Polskiego, pisany do redakcyi „Rusi,” a brzmiący, jak następuje:

„Zjawiają się u nas po wszech emisaryusze niemieccy, którzy wszelkimi sposobami usiłują niepokoić i buntować lud włościański. Namawiają włościan, by nie płacili podatków, nie dawali składek na zapomogi dla wdów i sierot po poległych w wojnie japońskiej i sprzeciwiali się siłą wysyłaniu rezerwistów na teatr wojny.

„Oprócz tego emisaryusze namawiają chłopów, by wypędzili właścicieli majątków i dobytkiem ich się podzielili, a zabudowania popalili, gdyż ziemia ma być rozdana chłopom. Takie ma być „nowe prawo japońskie.”

„Przekonałem się, że są to emisaryusze nie-

wszystkich i dla nas... bo gdy się ludzkość uświęci w celach i drogach, zmartwychwstanie z win i upadków!...

„W ciągłej przykłądu i słowa postaci
„Rozdawaj siebie samego swej braci,
„Mnóż ty się jeden przez czynów tysiące,
„A będą z ciebie... jednego — tysiące!“

Jadwiga z Z. Strokowa.



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

V.

Gdy Manusia Zarębianka dorosła dwunastu lat, zmieniła siedm bon i trzy nauczycielki. Bracia jej byli już w szkołach w Warszawie, i po wydaleni trzeciej nauczycielki Zarębowie postanowili i jedynaczkę tam odwieźć i ulokować na pensyi.

Zrazu mieli ją ulokować u matki pani Teresy, ale bali się, czy dziecku będzie tak dobrze, jak w domu i stanęło na tem, że Zarębina osiadzie w Warszawie, aż do ukończenia edukacji dzieci.

Było z tem kramu co niemiara, pani Teresa nigdy w życiu nie była tak zapracowana, ale wreszcie pod koniec wakacyi tabor ruszył. Zaręba rodzinę przeprowadził i ulokował. Wzięto mieszkanie na Wspólnej obszer-

ne, bo do chłopców był stały korepetytor, a Zarębina nie chciała słyszeć o rozstaniu się z Jankowską.

Potem rozpoczęło się badanie różnych pensyi, czy były dość godne mieć Manusię w gronie uczennic.

W jednej lokal był niehygieniczny, w drugiej przemęczano dziewczynki nauką, w trzeciej było dla Manusi za ordynarne towarzystwo, we wszystkich zaś się okazało, że Manusia jest zaledwie przygotowana do pierwszej klasy. A dziewczyna odżywiana silnie, była dużego wzrostu i nawet nad wiek rozwinięta fizycznie, aż śmiesznie wyglądała wśród pierwszoklasistek.

Zarębina obrażona, znerwowana, zresztą zmęczona i znudzona, ulokowała ją wreszcie u jakiejś pani, która miała jakiś komplet panniek ze wsi i prowadziła nauki fantastycznie, pilnując przedmiotów estetycznych i towarzyskich, bez określonego programu.

Podobało się to Zarębinie; — głupstwo te wszystkie klasy, lata i patenty, to może potrzebne dla niezamożnych, brzydkich, ale jej Manusia będzie miała posag, jest bardzo ładna, pracować nie potrzebuje, zresztą, wiadoma rzecz, że te mądre daleko trudniej znajdują męża.

Umieściła ją tedy, jako przychodnią u pani Lisickiej i odetchnęła z ulgą. Postanowiła była odprowadzać ją codzień rano sama na pensyę, ale po paru dniach straciła werwę do wczesnego wstawania i ubierania, i czynność tę zdała na Jankowską.

Zresztą, czy nie dość poświęcała się dla rodziny, czy nie dość miała z temi dziećmi kłopotu i trudu. Chłopcy uczyli się ciężko. Oprócz stałego korepetytora, przychodził specjalny do języka rossyjskiego i Francuzka na

godzinę konwersacyi. Wieczorem, po odbytych lekcjach klócili się i czubili zajadle, darli odzież, robili awantury w szkole, i zawsze któryś był chory.

Pani Teresa miała tedy wiele roboty, gdy dodać sprawy z kucharką, stosunki towarzyskie, stroje i rachunki. To ostatnie było najcięższe.

Zaręba dawał pewną określoną sumę miesięcznie, która nigdy nie wystarczała. Pani Teresa zapożyczała się u rodziny, i ze strachem czekała przybycia męża. Wtedy miała złe momenty.

Zaręba przeglądał rachunki i burczał.

— Co? Znowu kapelusz dla Manusi! Przecież kupiłaś niedawno!

— Nie można przecie pozwolić, aby nosiła letni. Opowiadała mi z płaczem, że się z niej wysmiewają kolleżanki. Co tam — parę rubli!

— No i znowu biała sukienka?

— Musiałam zrobić. Był wieczorek dziecięcy. Żebyś wiedział, jak się ogólnie podobała!

— I lekye tańca?

— No, to przecie koniecznie potrzebne. Przecie nie podobna, żeby się nie umiała obrócić, ani poruszyć. Wzięłam też nauczycielkę muzyki. Okazuje się, że dziecko ma wielkie zdolności.

— Ależ, Tereniu, więc znowu masz deficyt w kassie?

— Cóż poradzę. To wszystko na wychowanie dzieci. Na siebie nic prawie nie wydaję. Zobacz!

— Widzę, że muszę płacić i płacić. Na starczyć nie mogę. A chłopcy źle się uczą.

— Bo korepetytor do niczego. Pisałam ci jak mi odpowiedział, kiedym mu robiła uwagi. To jakiś demagog. Powiada, że burzujom rozum, ani nauka nie potrzebna, a od wojska

mieccy, gdyż raz miałem do czynienia z takim „Japończykiem.“ Jak się pokazało, był to znany mi już poprzednio kolonista niemiecki.

„Może list mój otworzy oczy, komu należy, na te przysługi, jakie oddają nam „przyjaciele“ Niemcy.“

List ten przedrukował „Wiek,“ za którym i myśmy go powtórzyli, bo nie tylko zupełną wiarę do niego przykładamy, ale chcielibyśmy zarazem, ażeby doszedł do wiadomości wiejskich czytelniczek „Bluszczu,“ które, mając stosunki z ludem, mogłyby mu nie jedno słowo pożądane w tej sprawie powiedzieć i ochronić od wpływu tych nieproszonych przyjaciół naszych. Zło to w zarodku stłumić potrzeba i raz nareszcie usunąć się od wydobywania z ognia kasztanów dla tych sąsiadów naszych.

Maluczko, a pole Mokotowskie życiem zarwie. Rumaki czystej krwi angielskiej będą walczyły o palmę zwycięstwa i naładowywały kabzę ich szlachetnym właścicielom groszem tłumu, roznamiętnionego do gry w totalizatora. Słusznie zapytuje „Goniec“ (nr 162) w początkowym artykule swoim: „Czy dopuścimy do wyścigów?“

Czy dopuścimy!...

Jak to brzmi pięknie — boć przecie rodzi się samochęć odpowiedź — że... możemy

nie dopuścić, a w takiej *możności* leżałaby siła pewna, uczciwość społeczeństwa, zrozumienie w danej chwili potrzeb, stokroć ważniejszych od tej wielkopańskiej zabawy, na której tracą ludzie pociągnięci hazardem i głęboką wiarą w uśmiech sprzyjającego losu. Niby to można odpowiedzieć na to: a pocóż lecać na lep zwodnej pokusy?... Zapewne, że pewna doza winy jest po ich stronie, ale czy są mniej winni ci, co przynętę stawiają — zawsze z zyskiem dla siebie. Słusznie autor artykułu dowodzi, że w zasadzie nie można mieć przeciwko temu, że np. zamożny obywatel-szlachcic chce się zabawić w hodowlę koni angielsko-arabskich, lub, gdy żywiły nowsze plutokratyczne pragną przez protekcję stajni wkupić się do towarzystwa dobrego tonu i wysokiego urodzenia. To ich sprawa prywatna. Należy możliwie unikać wszelkiego przymusu opinii w rzeczach prywatnych i nie zajmować zasadniczo wrogiego stanowiska przeciwko zbyt kom w ogóle, bo to jest wypróbowana droga do zrażenia sobie żywiołów, nawet chętnie usposobionych. Ale niech z racyi wyścigów końskich nie dzieje się publiczna krzywda i zgorzenie; niech za fantazyje i zbytki nie płaci społeczeństwo. Niech nie płaci potrójnie, bo kosztem: kieszeni, ogłupienia i demoralizacyi. Gdyby nie istniała, po prostu — zbrodnia społeczna, zwana totali-

zatem — rąbie krzyżową sztuką autor wzmiankowanego artykułu — towarzystwo wyścigowe tutejsze miałyby naprzykład w r. z. wpływu wszystkiego 117,000 rubli. Że zaś samych nagród wypłaciło ono 384,000, a zakładom dobroczynnym i zarządowi stadnin musiało złożyć dziesięciny aż 76,000 rubli, miałyby zatem deficytu w ciągu jednego roku 343,000 rubli. Gorzej nawet. Miałyby go napewno 400,000, bo przecież bez totalizatora nie wpłynęłyby do kassy za bilety wejścia około 59 tysięcy rubli. Ta więc brakująca kwota 400,000 rubli rocznie wyciska się z naszego biednego społeczeństwa, z naszego kraju zniekanego.

Pod płaszczem blagi i frazesu o doskonaleniu rassy końskiej, prowadzi się zgubną robotę, wygrywając na najniższych instynktach ludzkich: chciwości, próżności, żądzy łatwych nabytków, próżniactwie, prezentowaniu kosztownej rozpusty.

I dalej zdradza autor publiczną tajemnicę, że sam totalizator, to tylko blaga i szantaż. Toć wróble na dachach już wiedzą, że „dżokeje działają przeważnie w porozumieniu się wzajemnem; że większość zwycięstw dobrowolnie decydują pomiędzy sobą układem nowoczesnym syndykatowym, podczas, gdy ich przyjaciółki i grono równej wartości przyjaciół, zbierają świadomie żniwo z totalizatora

jakoś się wykręca. Jak można brać do dzieci jakiegoś tam aptekarczyka. Naturalnie chłopcy za nic go mają. Ty masz dla niego jakąś dziwną słabość.

— Rozmówię się z nim! — mruzczał Zareba, patrząc ponuro na sumnę miesięczną.

— Ale uważasz, jak się Manusia wyrabia. Zdaje mi się, że ona długo w domu nie posiedzi. Czy uwierzysz, że na tym wieczorku już zrobiła konkietę. Nie uwierzysz kto?

— No?

— Radca Sulicki.

— A ten co robił na dziecinym wieczorku?

— Było to u jego siostry Zagórskiej, jej córki są z Manusią u Lisickiej. Otóż przysiadł się do mnie i tyle nagadał komplementów, a wreszcie powiada półżartem: „Za parę lat córka pani będzie najpiękniejszą panną w Warszawie. Doprawdy, dla niej wtedy i ja bym się rzekł starokawalerstwa.“

— Patrzcie no! Sulicki! — uśmiechnął się Zareba. — Cztery kamienice, place w Grochowie. To gruba ryba! Ba — ale to jeszcze dobrych cztery albo pięć lat, a tymczasem słono mnie to wszystko kosztuje.

Stęknął, sięgając do pugilaresu, ale pani Teresa odetchnęła, czując, że złe przejście skończono.

Istotnie Manusia zmieniła się w mieście. Nabrała ułożenia i szyku, upominała się o coraz dłuższą suknię, miała przyjaciółki, z którymi szeptała i chichotała, straciła grymasy i samowolę i zaczynała pojmować najpotężniejszy autorytet świata: „wypada, nie wypada.“

Nie miała zamiłowania do nauk, ani ambicji wiedzy, uczyła się jednak dość znośnie, marząc, by z tem jak najrychlej skończyć. Wiedziała, że jest ładną, słyszała to bezustan-

nie od dziecka, lubiła patrzeć w lustro i stroić przy tem różne miny „do twarzy,“ lubiła się stroić i już była zakochana.

Ten „pierwszy“ był to brat Ludki Zagórskiej, student. Przychodził czasem po siostrę do Lisickiej, a Ludka, Manusi powiernica i przyjaciółka, odegrywała rolę pośredniczki. Na wieczorku student tańczył z Manusią, od owej polki zaczęła się miłość. Zdawało się Manusi, że od tej chwili rozpoczęło się dopiero życie, wszystko stało się małe i marne, nie godne myśli i uwagi — oprócz jej miłości.

Zaczęła też w tym czasie zjadać ołówki i używać cold-creamu do rąk i twarzy i usilnie dopominać się u matki gorsetu.

Komplety lekcyi tańca odbywały się u Zagórskich dwa razy na tydzień, wieczorem. O tem tylko marzyła Manusia, wrażenia stanowiły niewyczerpany temat szeptów z Ludką. Ta starsza o rok, kochała się już trzeci raz — obecnie w siódmo-klasiście, kolledze Zarebów. Na tańcach zbierała się cała paczka.

Zarebina przychodziła z chłopcami i Manusią, ideał Ludki — Wicek Szałacki z siostrą i jeszcze kilkoro młodzieży znajomej. Ile tam było spojrzeń i uśmiechów, zalotności i galanterii, uścisków dłoni i wymownych słów! Mamy drzemały na kanapkach, metr tańca pokazywał różne „pas,“ ślepy grajek rąbał na fortepianie, nauka flirtu przychodziła sama.

Po takiej lekcyi Manusia nazajutrz była jakby senna, narzekała na ból głowy, nie umiała nic odpowiedzieć na pensyi. Zarebina sprowadzała doktora, który coś gadał o anemii, o blednicy, radził ruch, dużo powietrza, nie przepracowanie naukami, zapisywał jakieś krople.

— Ach, Boże, te nauki zamęczą mi dziec-

ko! — biadała Zarebina. — Ach, żebyż się to prędzej skończyło!

Najchętniejby już zaraz wprowadziła córkę w świat.

— Oszalałaś! — mówiły jej siostry. — Pomyśl, jakby to ciebie postarzyło. Córka na wydaniu!

— Ja dla niej na wszystko gotowa. Dla jej szczęścia wszystko poświęcę! — mówiła pani Teresa tonem Kornelii, matki Grakchów!

I była istotnie gotowa wydać ją zaraz za mąż za „dobrą partyę,“ jaką był pięćdziesięcioletni radca Sulicki. Wszystko dla szczęścia dziecka!

Manusia pieszczona i kochana przez wszystkich, płaciła ze swej strony łaskawą pieszczotliwością otoczeniu. Zawojowała tą tanią czułością rodziców, braci, znajomych i krewnych, nazywali ją „miluchną przylepeczką.“ Nie zawojowała tylko i niecierpiała jednego z domowników, a był nim korrepetytor, Antoni Stuch, pastuch — jak go między sobą zwały dzieci Zarebów. Chłopcy go nie lubili, ale jego jednego się bali i słuchali, nie lubiła go Zarebina, ale się go też trochę bała, a trochę się żenowała. Manusia prowadziła z nim otwartą wojnę.

Od dwóch lat był u nich stale, i na wsi, i pilnował chłopców w Warszawie, i teraz gdy w mieście wszyscy osiedli, zajmował pokoik obok chłopców, i w dalszym ciągu przepychał ich promocyje.

Był nietowarzystki i szorstki, przytem brzydki i nigdy nieoswojony. Żyjąc i obcując bezustannie z rodziną, zawsze pozostał obcy i jakby wrogi.

Zareba go jednak bardzo cenił, jako pedagoga i istotnie Stuch potrafił zmusić niesfornych chłopców i do posłuchu, i do uwagi.

oskubując naiwnych chciwców lub mniej ustosunkowanych od siebie szantażystów.“

Smutny obraz przesuwają się przed oczyma: samobójstwa, okradanie kas pryncypałów, zdrad małżeńskich, rozpusty, ruiny ojców rodzin, demoralizacja dzieci i maluczkich... Ale — gdy podobnego rodzaju gra ohydna w żadnym czasie nie powinna mieć zastosowania — to cóż dopiero w czasach obecnych, gdy nędza zagląda w oczy setkom tysięcy, gdy pracy brak, choć tyle jest rąk potrzebujących pracy, gdy posucha zeszłoroczna zapowiada się głodowym przednówkiem w chatach włościańskich?... Bankructwa są na porządku dziennym, chwije się tyle jednostek i całych gałęzi produkcji, w perspektywie widmo cholery i zbliżanie się zmian tak ważnych i doniosłych, że potrzeba wielkiego skupienia się w sobie, grosz mieć gotowy na wszelkie a tak rozliczne potrzeby — a tymczasem Towarzystwo wyścigowe „nie orzekło jeszcze słowem, że się w tym roku wyścigi nie odbędą.“ „Zali myśli, że znękanе społeczeństwo pozwoli na wyszarpnięcie sobie 400,000 rubli?“ „Jeżeli — kończy autor — instytucja smutnej sławy nie liczy się z głosem opinii i sądem historyi, to niechże ją zmusi do zastanowienia groza chwili.“

Groza chwili!...

Zali to już jeden miecz Demoklesa wisiał

nad tem społeczeństwem, a czy to tych panów lekkoduchych powstrzymało od tak pojętej zabawy? Groza chwili: nie — to nie powstrzyma — i społeczeństwo pozwoli sobie na wyszarpnięcie tych 400,000-cy rubli — pozwoli, bo znowu ten kuszący, choć wiecznie zawodny los stanie, jako *medicus* tej nędzy. Sądu historyi nie obawiają się ci panowie, bo on rozbrzmiewa już po nich, gdy ciężka ziemia na ich się powieki osypie — jedno tyłkoby ich mogło powstrzymać: opinia całego jednolitego społeczeństwa, gdyby ta jednolitość była, która tworzy nieodpartą, nieprzełamaną siłę. Lecz o niej mówi się tylko, a nie ma jej wcale. Zawieszona gdzieś jest w obłokach, lecz na ziemię nie zeszła. Zciągnijmy ją z tych wyżyn podobłokowych, bo nie tam jej dziećstwo być powinno, a inną koleją potoczają się sprawy ludzkie — niech tylko będzie nieubłagana w sądach i wyrokach swoich, nie przekupiona żadnym datkiem, żadnym nie zwalczona uśmiechem. Zniknie wtedy nie tylko — totalizator.

Jaka ogólna jest bieda, to miarą jej być może choćby urządzony w salach Tow. Łyżwiarskiego „Jarmark dla biednych,“ który sprzeniewierzył się tradycyi urządzeń podobnych i filantropią za drzwi pięknej Doliny Szwajcarskiej wyrzucił. Na „jarmarkach“ podobnych zasiadają zwykle panie z towarzy-

stwa, mające dużo znajomych, mniej lub więcej ludzi zamożnych, dla których zawsze była miłą ich wdzięczna — karota. Dać dla biednych rubla więcej, dla uśmiechu ust pięknych, dla słodkiego podziękowania, — toć nie było ofiarą zbyt wielką. Pięknej pani zrobiło się przyjemność, nie nadszarpało się sobie zbyt wiele kieszeni, a biednym się pomogło.

Dzień pierwszy jednak jarmarku dziwną pustką zaświecił. Nie byłem na nim, lecz mówiły mi, skarżąc się, że ofiarnice właśnie, w sklepach siedzące, że nie było ani od kogo brać, ani do kogo się uśmiechać. Na zapytania, wymownie odpowiadano: „Złe czasy, z groszem liczyć się trzeba.“ A wstydzono się nabyć przedmiot jakiś marny i dać naddatku złotówkę. To nie uchodzi, — więc lepiej ominąć progi Doliny. Cenę wejścia oznaczono tylko na złoty gr. dwadzieścia. Gdyby się tłum zebrał i wszystkie sklepy ominął — to już coś niecoś przyniosłyby te wejściowe bilety. Ale jak tu wejść, za taką marną cenę, posłuchać śpiewu i deklamacyi, ze znajomymi się przywitać i wyjść... bez rumieńca na twarzy?... Ot, i po filantropii... Większą tu rolę odgrywa miłość własna, niż miłość bliźnich potrzebujących... Żle więc zapoczątkował się dzień pierwszy „jarmarku,“ jakie następne będą, przesądzać wprawdzie nie można, ale ludzie okrutnie się kulą i już się

Zkąd pochodził i czy miał rodzinę, zaledwie wiedziano. Powiedział Zarębie, że ojciec był aptekarzem, matka z zawodu nauczycielką, oboje umarli, osierocili ich dwoje z siostrą. Jakiś krewny, ksiądz, im dopomagał, potem i ten umarł. Stuch miał stypendyum, chodził na prawo, o siostrze nigdy nie wspominał, listów nie otrzymywał żadnych.

Rano wychodził jednocześnie z chłopcami, i na ich wielkie oburzenie, przeprowadzał, aż do bram gimnazjum; prawie codzień też spotykali go niedaleko szkoły, gdy wracali do domu. Nie było sposobu go oszukać, ani przed nim się ukryć z jaką „fugą“ uczniowską. Niecierpieli go też z całego serca.

Po obiedzie Stuch odrabiał z nimi lekcye, i dopiero gdy odkuli sumiennie jutrzejsze zadania, uwalniał. Od jego woli i postanowienia nie było apellacyi. Zarębina nawet musiała się z tem liczyć i w dniu lekcyi tańca cierpliwie czekać, zanim Stuch chłopców nie puścił.

Wieczorem Stuch wychodził i wracał dopiero o jedenastej. Wtedy jeszcze raz zaglądał do pokoju chłopców czy śpią, a sam zasiadał do pisania i długo w noc świeciło się w jego oknie.

Stuch był bardzo ubogi. Znać to było po jego mundurze i butach, po oszczędności, z jaką wydawał każdy grosz. U Zarębów nie pobierał żadnego wynagrodzenia, ale miał jeszcze parę korrepetycyi na mieście i zarabiał przepisywaniem po nocach.

Chłopcy dowodzili, że pieniądze zarobione przehulał. Opowiadali, że ktoś wyszpiewował, że owe jego codzienne wycieczki wieczorne były do jakiejś strasznej jaskini gry. Nie było zlej i zbrodniczej rzeczy, którejby nie opowiadali o znenawidzonym Pastuchu,

i pewnie on sam nie tyle pragnął skończenia Uniwersytetu dla siebie, jak oni dla niego — bo czuli, że prędzej go się nie pozbędą.

Manusia nie miała bezpośredniej racyi nienawidzenia Stucha, nie zależała od niego i on ją ignorował. Może ztąd była jej niechęć. Czuła w nim milezącą krytykę, lekceważenie, pogardę i kompletną obojętność dla jej wdzięków.

Z początku starała się go zjednać i zadowozić. Wpadała do pokoju braci latem, podczas lekcyi, wypraszała ich na jakiś spacer i zabawę, przymilała się, łąsiła.

Stuch oburknał szorstko:

— Proszę sobie ztąd iść. To nie panny miejsce!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Widzę Cię!...



Widzę Cię, widzę — skroś wiekowe mroki,
Skoś lat ubiegłych tajemne odmęty,
Schyla się ku mnie Twój duch wielki, święty,
Zdobny w pokorę i w spokój głęboki,
Twój duch ze słońca i gwiazd złotych lity,
Silniejszy, niżli marmur i granity.

Widzę Cię, widzę!... Już się chwila zbliża,
Gdy tłum bezmyślny, dziki, rozpasany
Plwa w Twoje święte, krwią ociekłe, rany,
Gdy u podnóża męczeńskiego krzyża
Najświętsza Marya, Matka Bolesciwa
Z nadmiaru żalu biel swych szat rozrywa!

Widzę Cię, widzę! Twarz Twa łśni pogodnie
Twe usta zcięte stygmatem cierpienia
Zdają się szeptać słowa przebaczenia
Tym, którzy w życiu szli przez grzech i zbro-

[dnie,

Tym, co obludy skowani łańcuchem
Upadli ciałem i upadli duchem!...

O, Chryste! miłość Twoja niepojęta,
O, Chryste! miłość Twoja niezgłębiona,
I mnie zwątpienie szarpie wnętrze łona,
I mnie piekielny grzech w swe sieci pęta,
I mnie obluda i bezmyślna pycha
Nieraz w otchłanie ciemnej nocy spycha!

O Chryste, Chryste! zmiłuj się nade mną,
Me smutne serce weź pod Swoje skrzydła —
Bo oto ziemską nędza mi już zbrzydła
Z jej marnem szczęściem i miłością ciemną
Co jak pokrzywa bujnie się rozplenia,
Strącając myśli w bezdeń odrętwienia!

O Chryste! Chryste! bólem serce płacze,
O jedno tylko Twe spojrzenie proszę,
O jedno tylko!... Ziemskie dziś rozkosze
Już mnie nie znącą!... Stopy Twe tułacze
Zmyję potokiem swej krwi wrzącej, żywej —
Ale mi przebac, — bom był nieszczęśliwy!...

Zygmunt Różycki.



pieniądz nie toczy tak łatwo, jak dniem przed tem.

Wkrótce będziemy mieli w Warszawie tak niezbędne „Schronienie dla nauczycielek“ dla tych może najbiedniejszych istot na świecie.

Ministerium spraw wewnętrznych zezwoliło na urządzenie przy Kassie zapomogowo-oszczędnościowej nauczycielek i nauczycieli prywatnych, chrześcian, w Warszawie schroniska dla osób pracujących na niwie pedagogicznej. Zgodnie z ustawą Schronisko ma na celu dostarczenie opieki, mieszkania i utrzymania osobom obojej płci wyz. chrześcijańskiego, zajmującym się pracą wychowawczą, które z powodu choroby lub starości nie mogą już oddawać się zajęciom swoim. Oprócz tego, ma Schronisko dostarczać mieszkań i środków do utrzymania tym nauczycielom i nauczycielkom, którzy chwilowo pozostają bez zajęcia, a głowy nie mają gdzie przytulić. Ze schroniska będzie można korzystać za małą bardzo opłatą, albo i darmo. Do schroniska będą przyjmowane osoby chore na zakaźne choroby, idyoci, epileptycy i t. d. Pierwszeństwo mieć będą kandydaci wnoszący składki członkowskie na rzecz Schroniska; członkowie dzielą się na: honorowych, wnoszących 1,000 rubli jednorazowo, lub 100 rubli rocznie; opiekunów, wnoszących 150 rubli jednorazowo lub 6 rb. rocznie i rzeczywiście człon-

ków Kassy zapomogowo - oszczędnościowej, płacących 3 rb. rocznie. Schronieniem zarządzać będzie rada opiekuńcza i zarząd.

Z powodu nędzy ogólnej i przewidywanego głodu, podjęty został zamiar na ogólnem zebraniu przedstawicieli instytucyi dobroczynnych, zorganizowania loteryi na głodnych. Loterya ta ma być jednoklassowa i składać się z 50,000 biletów w cenie 10 rubli każdy, z pięciu dwurublowemi kuponami. Summa, osiągnięta ze sprzedaży biletów, stanowiąca poważną cyfrę 500,000 rubli, będzie rozdzielona na dwie połowy: 250,000 rubli pójdzie na wygrane, drugie tyle na rzecz głodnych. Wygrana główna wynosić ma 30,000; następnie będą dwie po 5,000, dziesięć po 1,000, dwadzieścia biletów po 500 rb. sto pięćdziesiąt po 100 rb. i dwanaście tysięcy po 12 rb. 50 kop. Tak, że ogółem będzie w loteryi 12,186 sztuk. Powodzenie loteryi bezwarunkowo zapewnione będzie. Projekt zostanie niebawem złożony do zatwierdzenia General-gubernatorowi warszawskiemu.

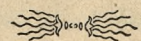
Ot i wszystkie prawie wiadomości, jakie potrafiłem zebrać na psującym się już bruku warszawskim. Chciałoby się coś o tramwajach elektrycznych powiedzieć, ale ich jak nie widać, tak nie widać na ulicach miasta, widocznie, że i one zastrajkowały przed swoim urodzeniem się jeszcze i ani ich zmusić

nie można do dania znaku życia. Pomimo stagnacyi, kamienice, i to potężnych rozmiarów, tu i tam wyrastają, miasto z każdym dniem się upiększa, tylko nasz Zygmunt zaniedbany na swojej kolumnie stoi, do rysy u podstawy słupa wilgoć się wkrada, a podstawa pomnika prześwieca już szczerbami i zda się, że wzywa ludzi dobrej woli, o zwrócenie uwagi na tę pamiątkę historyczną.

O, pamiątki! gdzie was niema i gdzie wy jesteście? — można spytać. Znikają powoli stare dworce modrzewiowe, prastare świątynie nieumiejętna ręka szpeci, a my lamentujemy tylko, nad tą działalnością rąk barbarzyńskich czasu i ludzi, na żaden czyn płodny zdobyć się nie mogąc.

A oto za chwilę dzwon zabrzmi podniosłem: Alleluja!... Chrystus Pan zmartwychwstanie, w potęgę swej i sile, dając przykład ludziom, że tylko potęga i moc umarłe wskrzesić może, odnosi tryumf nad śmiercią. Według prastarego zwyczaju ślę wam życzenia, czytelniczki i czytelnicy, życzenia starego druha waszego, z którym już zżyliście się nieco, i w którego szczerość życzeń wierzyć możecie. Siłę miejcie i moc!

Kazimierz Gliński.



HISTORIA KOBIECY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

To była strona psychiczna demonolatrii; praktyczna zaś polegała na tem i tem pociągała, że rozwiązywała i puszczała na swobodę szalał namiętności, że—w przeciwieństwie do dyscypliny chrześcijańskiej—czartochwałstwo pozwalało zgrzytać nienawiścią, pożądać zemsty, szukać jej czynnego nasycenia, a przytem zerwać pęta moralnego przymusu i używać na wszelakiem wyuzdaniu, co dla tych zawsze pozbawionych umiarkowanego nawet używania było potężną przynętą.

Ponęty czarnoksiężstwa, jak wśród wszystkich sfer społecznych najbardziej pociągały najniższe, tak we wszystkich sferach najbardziej pociągały kobiety. Tchórzliwe w skutek poczucia swej fizycznej i umysłowej słabości wiekiem upodleniem znikczemnione, despotyzmem wyuczzone podstępności, najpodatniejszymi były one do takiej działalności, która odbywała się tajemnie i zdradnie. A przytem ciekawą i wrażliwą naturę kobiecą, wyobraźnię logiką nie regulowaną, wabiło niezmiernie to, co było nadzwyczajnem i niepojętem, a temperament skłonniejszy do newroz i hysteryi łatwiej niż mężczyzna rozpałał się do tego, co było w czarnoksiężstwie dziwaczne i potworne. Bodin, francuzki historyk czarnoksiężstwa z XVI-go wieku, oznacza w przybliżeniu liczebny stosunek mężczyzn do kobiet w procesach o czary swego czasu, jak 1 do 50. Na kilkadziesiąt więc kobiet zaledwo jeden mężczyzna—i to częściej magik lub astrolog, niż właściwy czarownik. A prócz przewagi liczebnej była też po stronie kobiecej przewaga inicjatywy, uzdolnienia i nawet autorytetu; baba-wiedźma mocniejszą zwykle bywała od chłopca-znachora, większe miała znaczenie i rzecz można, że czarnoksiężstwo w początkach swych ogólniejsze, w miarę rozwoju swego stawało się coraz więcej wyłącznością kobiecą. I tak na powszechnem tle socjalnego rozdźwięku rozwinał się specjalnie ruch babi, który nazwałby można najpierwszą fazą emancypacji kobiecej.

Ruch ten nie był skoncentrowanym, ciemnota i niemoc jego uczestniczek sprawiały, że nie miał żadnych obmyślanych konsekwentnie postulatów, nie dążył świadomie do wyzwolenia, a tembardziej równouprawnienia kobiety, był tylko indywidualnym, a moralnie epidemicznym; zagarniał w siebie z żywiołową siłą odpowiednio usposobione jednostki kobiece tak, jak spływająca po stokach wulkanu lawa zagarnia pojedyncze drzewka, które nie na budulec idą, a tylko się zwęglają, zaznaczając tem jedynie konieczność fenomenu i elementu.

Przykro nam konstatować dziejowo taki ruch kobiecy, który zaznaczał się zrzeczeniem wszelkich dodatnich cech kobiecości. Bo sprawiedliwość przyznać każe, wbrew spopularyzowanemu mniemaniu o niewinności ofiar

stosu i tortury, że czarownice nie były to tylko głupie baby zabobonne, lub historyczne demonomanki, lecz bywały to tylko świadome, złośliwe zbrodniarki, potwornie nieraz występne, tak w znaczeniu religijno-moralnem, jak społeczno-kryminalnem.

Naturalnie bywały też między skazanemi rzeczywiście niewinne ofiary. Ze srogości prawa i w tym razie, jak zaższe, korzystało nieraz mściwe oszczerstwo i różne samolubne interesy, a wśród mąk badania niejedna wyznawała to, czego wcale nie robiła, albo też robiła tylko w chorobliwej wyobraźni i halucynacye swe jako rzeczywistość opowiadała. Ale których było więcej, świadomych czy niepoczytalnych? jak wiele krwi niewinnej przelano? Oto jedna więcej ze smutnych zagadek dziejowej Temidy, która tak często sama oczy ma związane niewiomością, a potomnym je zawiązuje uprzedzeniem.

Wśród symptomów psycho-fizjologicznych, jakim podlegały czarownice, może najczęstszymi bywały zjawiska z tej kategorii, jaką dziś—w braku dokładniejszego określnika—nazywają spirytyzmem, grupując razem zjawiska hypnotyzmu, sugestyi, lewitacye, telepatye i t. p. Przed trzema wiekami bardziej jeszcze, niż obecnie, całokształt tych zjawisk nie dawał się rozwiązać inaczej, jak tylko hypotetycznie, a z hipotez tych umysłem bardzo nawet krytycznym wydawało się najprawdopodobniejszym, że w summie owych zjawisk wiele było takich, które wychodziły nie z niepoznanych jeszcze praw natury fizycznej, ale z trudniejszych i może niemożliwych do poznania praw jakiegoś świata poza materialnego.

Faktem jest wielokrotnie przez wiarogodnych świadków stwierdzonym i zadokumentowanym, jako zdarzało się, iż czarownice urządzały lewitacye (wyraźniejsze, niż Eusapia Palladino, materializacye widoczniejsze niż Crookes, hypnosuggestye skuteczniejsze, niż Ochorowicz. Pławiono je setkami—i setki świadków widywało po sto razy, jak wiele z nich utrzymywało się ze związanymi rękami i nogami na powierzchni wody, a próby racjonalnego wytłómaczenia tego zjawiska rzadkim trafem archimedesowym, lub wprost wzdymaniem się sukien, nie wytrzymują krytyki.

Że w czasie ogólnego podniecenia wyobraźni na ten temat występowało przedrażnienie nerwowe, a na jego tle częste histeryki i neuropsychozy o symptomatach niezwykłych i nieraz przytem zbiorowo, to się jeszcze zrozumieć daje. Można dziś wytłómaczyć taki np. wypadek, że w roku 1611-ym w Marsyli cały klasztor Urszulanek popadł w dziką demonomanię, za co spalono Bogu ducha winnego księdza Goffridi, który nasłał dyabła mniszkom. Ale wiele innych faktów wymyka się stanowczo pozytywnemu wyjaśnieniu, a pomiędzy nimi bywają tak poważnie skonstatowane, jak np. ten, że w 1577-ym roku parlament w Tuluzie skazał na spalenie 400 czarownic, które jako dowód obciążający miały wszystkie na ciele wyraźne „stygmata szatana.“ I jak nie są bajką dokumenty, stwierdzające rozmaite symptomy o naturze dotąd nieznannej, lub koszlawie przez fizjologię tłumaczonej, tak również bajką nie jest, iż by-

wały kobiety tak namiętnie rozmilowane w osobie szatana, że nie znajdowano sposobu— a w sposobach wszak nie przebierano—zmuśnienia ich do odrzeczenia się go i wypowiedzenia mu posłuszeństwa. Uczucia swoje dla niego wyznawały z dziką rozkoszą, trwały w nich z nieprzemogionem zapamiętaniem, a na stos szły w ponurem uniesieniu, oddając z zapalem ciało swe żywiołowi mniemanego kochanka, a duszę piekłu.

Jedną z zasadniczych praktyk czarnoksiężstwa była straszliwa „czarna msza,“ należąca zwykle do programu sabatów, lub też specjalnie odbywana w jakim miejscu pobudzającym do odpowiedniego nastroju, jak podziemia, pieczary, ruiny, cmentarze i t. p. Było to formalne nabożeństwo do szatana, polegające przedewszystkiem na sparodyowaniu chrześcijańskiej ofiary, w którym czartochwałstwo wyrażało się głównie całym szeregiem bluźnierczych zniewag, wyrządzanych Chrystusowi. Więc profanowano poświęcone przedmioty, depeząc i plwając, przekręcano obelżywie słowa obrzędowych modlitw, wymyślano najdziwaczniejsze sposoby lżenia chrześcijańskich świętości, a sama liturgia odprawiana była na wywrót, przedstawiając pozmienniane bluźnierczo wyrazy od końca do początku. Symbolistyka obrzędów katolickich była także sparodyowana. Czarne świece gorały ponuro, kopcąc smolnym dymem, z kadzielnic buchał swąd siarczany, starano się aby wszystko przypominało piekło; rozumie się, piekło traktowane po dantejsku, z nawnym naturalizmem średniowiecznej plastyki, z całym aparatem smoły, siarki, noży, widel i t. p. i wszelkimi sposobami wyrażano wstręt, pogardę, nienawiść ku temu wszystkiemu, co chrześcijaństwo wskazuje, jako drogę, prawdę i żywot, jako dobro, piękno i cnotę.

Naturalnie, jaka zasada, taką też była praktyka—szał bluźnierczy łączył się z szałem rozpusty. Do obrzędowego programu wchodziły najsprośniejsze rzeczy, rozlegały się cyniczne śpiewy, szalały wyuzdane tany, za ołtarz ofiarny służyło obnażone żywe ciało— a rozbestwienie przechodziło granice ludzkich namiętności, urągając nietylko prawom bożkim, ale nawet najelementarniejszym prawom natury.

Takie zbory miały swoich prowodyrów, którzy zapewne posiadali jakieś szersze plany, dążyli może do zcentralizowania czartochwałstwa i wyzyskania go do jakichś celów; ale umieli oni okryć się taką tajemniczością, że dotąd nic o nich nie wiemy. Możemy tylko skonstatować obecność ich na zborach, władzę przez nich posiadaną i cześć odbieraną. Ze wzmianek spotykanych w protokółach, gdzie wśród zeznań, opisujących tajne obrzędy, występuje widzialna i dotykalna postać jakoby szatana, z tradycyjnymi rogami, pazurami, ogonem, koźlą brodą i t. p. postać straszliwa i potężna, przyjmująca hołdy i wydająca rozkazy. Byli więc widocznie tacy, którzy w całym tym ruchu grali pierwsze role, którzy zapewne tych wszystkich idących w pojedynkę i na oślep, chcieli skupić i do czegoś użyć. Ci byli mężczyznami— a czarownice pały ku nim erotycznym szałem, oni zaś umieli im poddawać tak silną sugestję namiętności, że kochanice domniemanego szata-

na widywały go, później i lubowały się nim po za jego rzeczywistą obecnością, nawet w domu rodzinnym, u boku męża i przy kolese dziecka.

Miłośnikom swym dawał ów szatan, oprócz skrytych rozkoszy rozpętania się z wszelkiego hamulca, wiele wiadomości któremi się w potrzebie posługiwały. Ktoś je bowiem wyuczał nietylko przeróżnych zaklęć, uroków i guseł, ale także środków szkodzących lub leczniczych, zaczerpniętych z nieznanych ogółowi tajników przyrody i niejedna z nich umiała posługiwać się skrytymi własnościami natury, w taki sposób, że i dziś jeszcze niejednego fizyka wprawiłaby w zdumienie. Sama nazwa czarownicy, którą lud nasz mianował „wiedźmą,” oznaczała *wiedzę*, a pomimo trwogi, jaką *wiedzące* baby w ludziach prawowiernych budziły, udawano się do nich chyłkiem niejednokrotnie, aby datkiem lub prośbą pozyskać lek lub wróżbę. Że zaś wśród mnóstwa tak szarlataneryi, jak bezsensownych guseł zdarzały się leki skuteczne a wróżby trafne—to wątpliwości nie ulega.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jan Łada.

PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

VI.

Ateny nowożytnie. — Miasto z pałaców i marmuru. — Styl klasyczny. — Wspaniałość publicznych gmachów. — Ulica Uniwersytecka. — Pałac Ilionu. — Kościół katolicki. — Collegium Leoninum. — Akademia Umiejętności i baron Sina. — Posągi Dhrososa. — Uniwersytet. — Biblioteka. — Młodzież akademicka. — Patriarcha Gregorios. — Instytuty naukowe w Atenach. — *Ecole d'Athènes*. — Instytuty niemiecki i austriacki. — D-r Dörpfeld. — Zakład SS. św. Józefa. — Plac Zgody. — Politechnika. — Muzeum. — Greckie i rzymskie grobowce. — Symbolika śmierci u starożytnych. — Brak nadziei za grobem. — Złote skarby z Myceny. — *Great attraction* naszych czasów. — *Auri sacra fames*. — Stare miast i jego charakter. — Cerkwie w Atenach. — Stara i nowa metropolia. — Dwa typy cerkiewnego budownictwa. — Stare miasto. — Charakter ulicy i przechodniów. — Bazar. — Im więcej Europy, tem mniej malowniczości. — Zakłady wychowawcze w Atenach. — Koleje. — Szkoły. — Ćwiczenia gimnastyczne. — Stadion. — Język nowogrecki i jego odcienie. — Teatr w Atenach. — Jeszcze „Bohème” Pucciniego. — Teatr i kościół. — Teatralna publiczność grecka.

Ktoby sobie wyobrażał, że Ateny są miastem ruin i wspomnień, zasłaniających teraźniejszość, że to miasto patyną starości okryte, jak stare włoskie grody, ten najzupełniejby się mylił. Ateny dzielą się na dwie części zupełnie do siebie niepodobne. Ateny klasyczne, zamarte wśród złomów pentelijskiego marmuru, puste i ciche, mają tu i ówdzie parę przedmiejskich ulic i chałup, tułających się u stóp popękanych kolumn i potrząskanych łuków. Za to z przeciwnej strony od północy rozciągnęło się nowe miasto, wzniesione za króla Ottona, tak piękne i wspaniałe, że podobnego nie znam w Europie. Chyba niektóre dzielnice Florencyi mogą zdać się z niem się porównać.

Wygląda to może na przesadę, a jest tylko słuszne. Proszę sobie wystawić olbrzymie

ulice *à perte de vue*, szerokie, jak bulwary, wyłożone białymi marmurowymi taflami, wysadzone rzędami drzewek, co prawda dla panującego tu braku wody bardzo lichych, ale przecie pomimo pyłu trochę zielonych i trochę cienistych. Po obu stronach wznoszą się ogromne żółte lub białe pałace, jeden w drugi wszystkie z pentelijskiego marmuru. Ani jednego sklepu, restauracyi, biura: nic tylko te gmachy trochę surowe, trochę sztywne i chłodne, ale bardzo pańskie i imponujące. Niektóre poprzedzone i otoczone ogrodami, bardzo wiele oddzielonych od sąsiednich budynków, co ulicy nadaje więcej jeszcze powietrza i przestrzeni, a im samym więcej jeszcze pałacowego wyglądu. Wszystkie one są w czystym greckim stylu, jak w ogóle, ciekawa rzecz, że dzięki nadanemu przez króla Ottona impulsowi, niema w Atenach ani jednego publicznego budynku, ani jednego prywatnego nowszego domu, któryby inną nosił cechę w swych architektonicznych formach. Dowodzi to godnego uznania pietyzmu i poczucia obowiązków, jakie wkłada wielka przeszłość, a Ateny zyskują przez to jednolitą cechę, nie zawsze w równym stopniu udaną, ale przecie szlachetną i niezwykłą. Występuje ona jednak szczególnie wybitnie na paru ważniejszych ulicach. Więc przedewszystkiem na ulicy Uniwersyteckiej. Wśród dwóch rzędów pałaców, pierwszy uderza niezmiernie szlachetnym rysunkiem i prawdziwie klasycznymi liniami pałac Ilionu, w którym obecnie mieszka wdowa po jego twórcy Schliemanie. Zaraz po tem bardzo piękny kościół katolicki św. Dyonizego, w stylu bazyliki starochrześcijańskiej, cały z białego marmuru, oślepiającego oczy swym blaskiem, z pysznym krążankiem, olbrzymimi schodami i koroną ślicznych palm dokoła. Obok z po za gęszczy egzotycznych krzewów wygląda istniejące cacko architektoniczne: Instytut Okulistyczny, a po za nim w głębi obszerny budynek katolickiego liceum fundacyi i imienia Leona XIII-go.

Przez ulicę tylko oddzielony uderza oko ogromny czworobok Akademii Umiejętności. Pomiędzy dwoma ogrodami, tworzącymi z przeciwnych stron jakby wspaniałe dziedzińce pałacowe, u stóp jego wspaniałych podjazdów, gmach ten podłużny, ozdobiony z obu stron pięknymi krążankami, z wytworną polichromią swych fryzów, odbijającą barwnie na tle białych marmurów gmachu i ciemnej zieleni ogrodów, wywiera przepiękne wrażenie i twórcy swemu Hansenowi przynosi prawdziwy zaszczyt. Bardzo szlachetną jest plastyczna ornamentacja, w której szczęśliwie się łączy terrakota z marmurem i efektownie odbija swym brunatnym tonem od śnieżnej białości gmachu. Najlepszy ze współczesnych greckich rzeźbiarzy Dhrosos, istotny artysta i duszą i dłutem, twórca pięknego pomnika Capo d'Istria w Korfu, wykonał marmurowe figury, zdobiące budynek; więc przedewszystkiem grupę środkową frontonu, górującą po nad fryzem, a przedstawiającą narodzenie Ateny, dalej dwa siedzące posągi Sokratesa i Platona, wreszcie dwie, na wysokich kolumnach stojące statuy Ateny i Apollina. Te ostatnie wyglądają dość dziwnie na owych kolumnach, na które, jak twierdzą złośliwi,

wyszły przez zbytnią ciekawość, aby się przyrzec temu, co zrobili Grecy nowocześni z dawnego miasta Jowiszowej córy, a zleżeć nie śmieją, bojąc się tramwajów i studentów sąsiedniego Uniwersytetu. Zdaje mi się, że to twierdzenie podsunięte jest dostojnej parze marmurowych bożków z zupełnie złą wola i że motywy, dla których pozostają w tak niewygodnej pozycyi, muszą być inne. Tramwajów w Atenach jest niesłychanie mało i jeżdżą powoli, zwyczaju zaś rozjeżdżania ludzi nie mają wcale i musiałyby chyba się uczyć tej sztuki od lwowskich swych kolegów. Co do greckich studentów, ci nie tylko u nas, ale i w Niemczech mogliby dawać lekcye przyzwoitości towarzyskiej i dobrych manier. Zresztą, choć pomysł kolumn tych z posągami jest dość dziwaczny, nie da się zaprzeczyć, że wyglądają one wcale pięknie na tle nieba, które za nimi widać. Ta szerokość przestrzeni, na jakiej budowane są wszystkie gmachy publiczne w Atenach i te ich drugie plany swobodne, zielone, oblane złotawym lazurem nieba — to wielki urok Aten i jeden z głównych czynników wrażenia, jakie wywierają.

Akademia jest prześlizną i monumentalną, znowuż jednak ci sami złośliwi utrzymują, że u wejścia siedzą wprawdzie Platon i Sokrates, a u szczytu króluje Minerwa, ale wewnątrz ani śladu niema wpływu bogini i wielkich filozofów. Ramy są pyszne, ale obrazu w nich niema, jest akademia, ale brak akademików. Niewiem oczywiście, jak z tem jest, i sądzić o tem jako cudzoziemiec nie próbuję. To rozumiem, że sam budynek nie wystarcza, i że lepiej mieć taką budę, w jakiej się ciśnie Akademia nasza z jej zakresem działania i z otaczającym ją gronem ludzi, niż bez tego wszystkiego, taki królewski pałac. Ale gdyby nawet pesymistyczne zdania o ateńskiej Akademii były uzasadnione, chwałą nieśmiertelną Grecyi pozostanie wzniesienie takiej siedziby dla nauki. I nie dość na tem, zresztą wszystko, co ma na celu publiczną użyteczność, jest tu królewskie. Jakim cudem, skoro kraj bankrutuje i zawsze był bez grosza? Oto dlatego, że po wszystkich handlowych centrach świata znajdują się bogaci greccy kupcy i bankierzy, którzy z zarobionych milionów czynią ofiary i wnoszą fundacye w swym rodzinnym kraju z monarszą hojnością. Wiedeński bankier baron Sina wznosił Akademię, braciom Wallianos zawdzięcza powstanie Biblioteka uniwersytecka, bracia Zappas zbudowali wspaniały gmach dla wystaw, Zappeion, kupiec Warwakis wznosił główne w Grecyi gimnazyum, Warwakion, Arsaki — Instytut wychowawczy dla kobiet, Arsakion i inni mecenasi, których nazwiska wypadły mi z pamięci, ale zapisane są z pewnością w sercach i umyśle wszystkich Greków, wzniesli prywatnym kosztem Uniwersytet, politechnikę, szereg szpitali i szkół miejskich. Doprawdy jest co podziwiać, jest czego się uczyć, zwłaszcza, że reputacyi świetnej Grecya nie posiada. I właśnie dlatego nasuwa się porównanie tem smutniejsze. I u nas tłumy dają grosz po groszu na cele publiczne, ale wiele instytucyi publicznych powstało z hojności milionerów? Mniej, daleko mniej, niż tutaj.

Uniwersytet stoi tuż przy Akademii, mniej od niej ozdobny i efektowny, ma jednak monumentalne rozmiary, dużo harmonii klasycznej i powagi. Na wstępie uderzają posągi dwóch narodowych bohaterów: wieszczka walk o niepodległość, ulubionego greckiego poety Rhigasa, oraz patriarchy konstantynopolitańskiego Gregoriosa, którego Turcy zamordowali w patriarcalnej jego cerkwi w samo święto Wielkiejnocy podczas nabożeństwa, gdy wiadomość o greckim powstaniu przyszła do stolicy. Grecy ciało swego narodowego męczennika, i po śmierci jeszcze znieważone przez rozwścieklony motłoch, wywieźli potajemnie do Odessy i złożyli w tamecznej greckiej cerkwi pod rossyjską opieką. Przed trzema dziesiątkami lat jednak zabrała jego szczątki Grecya, aby je złożyć na rodzinnej, wolnej ziemi. Leżą obecnie otoczone czcią ludu w starej małej metropolii obok głównej cerkwi ateńskiej.

Opodal od tych dwóch postaci, bardzo niewątpliwie szanowanych, ale mniej może nadających się do przybytku nauki, stoi ściślej już z nią i z wszechnią związana statua słynnego greckiego filologa Koraisa. Wnętrze Uniwersytetu urządzone bardzo porządnie, a nawet elegancko. Kiedy je porównałem z salami wykładowymi we Lwowie, lub z temi, w jakich sam służyłem najznakomitszych profesorów w starych gmachach uniwersyteckich w Krakowie, Innsbrucku i Wiedniu, nasuwa mi się natrętnie pytanie, dlaczego na zestawieniu kulturalnym nawet z taką Grecją, uchodzącą za kraj napół dziki, Austria, a specjalnie Galicya wyjść musi tak fatalnie.

Obok Uniwersytetu stoi ogromny, zawsze w tym samym stylu, ale w odmiennych formach architektonicznych trzymany, gmach Biblioteki uniwersyteckiej. Co za kolos, — ile tam może być książek i ile czytelników? Ale nie róbmy złośliwych uwag. Uniwersytet w Atenach ma półtora tysiąca słuchaczy, a wśród 60-iu profesorów są ludzie europejskiego rozgłosu. Grecy są w ogóle bardzo intelligentni i do nauk garną się chętnie.

W pobliżu Uniwersytetu i Akademii znajdują się dwa wielkie naukowe instytuty w rodzaju tych, jakie w Rzymie posiadają Niemcy na Kapitolu, Francuzi na Monte-Pincio w villi Medici, a Austriacy już nie wiem do prawdy gdzie, bo o tym ich instytucie nikt nie wie. Najstarszą w Atenach jest „Ecole d'Athènes,” istniejąca więcej, niż od pół wieku. Oddała ona już nauce znakomite usługi, skupiając sama jedna przez długie lata cały ruch archeologiczny i literacki, jaki obracał się około starożytnej Hellady. Nie jeden z uczonych, pracujących w tym zakładzie, położył dla przeszłości Grecyi wiekopomne zasługi; żeby tylko przypomnieć słynnego akademika i ministra oświaty Beulé, który przez szereg lat, bawiąc w Atenach, dokonał najciekawszych wykopalisk i między innymi odkrył na Akropolu bramę, wiodącą ku Propyleom. Wdzięczni Grecy uczcili jego pamięć, nadając jego nazwę jednej z głównych ulic stolicy. Obecnie instytut francuzki stracił na znaczeniu, jak wszystkie zagraniczne zakłady tego kraju, na których tak smutnie odbija się jego rozkład moralny i anarchizm radykalnych rządów. Zapewniają mnie je-

dnak, że kilkunastu młodych ludzi, pracujących tam obecnie, odznacza się wielką pracowitością i bardzo poważnie i pożytecznie użytkuje pobyt swój w Atenach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



UKRZYŻOWALI.



Czem zawiniły Bożkie usta owe
Które za wrogów modłać się, konały?
Czem zawiniły ręce Chrystusowe
Które chleb święty głodnym rozdzielały?
W czym była siła tej litości
W moc której zmarli z martwych powstawali,
Że ludzie cud ten — szczyt Bożej miłości
Ukrzyżowali?!...

Ukrzyżowali Prawdę — Sprawiedliwość —
Ukrzyżowali Miłosierdzie świata!
Ukrzyżowali Cichość i Cierpliwość...
Przeto Kainem bywa brat dla brata!
Przeto obumarł pokój z dni pogodą —
Przeto płomieniem piekła świat się pali,
Wre nienawiścią!
Braterstwo ze zgodą
Ukrzyżowali!!!!...

A przecież wieki my przed sobą mieli
Błogosławieństwo cudu! Promień łaski!
Lecz myśmy — Bracia — sercem ociemnieli,
W serca przedniebne nie weszły nam blaski.
Przeto — przewodnie gwiazdy w chmurach gasną,
Skrzydła aniołów Bożych nikną w dali...
Drżymy przed jutrem!
My potęgę własną
Ukrzyżowali!...

Adela Koneczna.



Estetyka grobów.*)



Pomniki wznoszone śmierci przez każde pokolenie, przedstawiają, — lepiej może od wszelkich innych dzieł sztuki — jego uczucia odnośnie do życia: uczucia żalu za życiem minionem, uczucia nadziei innej przyszłości; wspomnienia małej rodziny pozostawionej na ziemi, lub tej drugiej, wielkiej, posiadanej za grobem. Ludzie wyobrażają sobie *niecznane* podług tego, co znają, i nadają śmierci kształty życia.

Kolosalne rozmiary i przepych wielu starożytnych grobowców pochodzą z następującej przyczyny: w czasach dawnych zdarzało się często, że niektóre osoby przygotowywały dla siebie groby, starając się uczynić z nich przedmiot uwielbienia i zazdrości dla innych. Tak czynili Faraonowie, cesarze rzymscy, papieże, książęta i panowie średnich wieków, niekiedy osoby prywatne.

Pycha skłaniała możnowładców ubiegłych

*) Podług artykułu Roberta de La Sizeranne w „Revue des Deux Mondes.“

wieków do wznoszenia swoich grobów za życia; z biegiem jednak czasu ludzie pyszni znaleźli inne sposoby ujścia namiętności, a zadowolenie, jakie znajdowali w przeszłości, w przygotowaniu dla siebie pośmiertnej siedziby, wydawałoby się nielogicznym i śmiesznym dzisiaj.

Zkądinąd człowiek nowoczesny nie jest porwany żądzą budowania, jaką odczuwali ludzie starożytni i przodkowie nasi aż do XVIII-go wieku. Nasi ojcowie budowali i burzyli, lubili zmieniać zewnętrzną powłokę rzeczy, upiększać miasta. Poszanowanie istniejących pomników było uczuciem całkiem nieznanem, — równano z ziemią nieraz bez zastanowienia, nieraz dla błahych przyczyn, domy, mury, zamki, całe grody nawet. Dla uniknięcia grozy zniszczenia należało wznosić olbrzymie pomniki.

Tym sposobem, nie uciekając się do uczuć religijnych, łatwo zrozumieć, dlaczego ludzie bogaci, przez długie czasy usiłowali stawiać dla siebie trwałe grobowce. W miarę, jak świat znajdował nowe godła chwały, zniknęło upodobanie kolosalnych budowli, zmniejszały się rozmiary grobów.

W starożytności grobowiec, jeżeli nie jest górą, jak np. Piramidy, bywa często świątynią, jak to widzimy w sarkofagach Sydonu, lub co najmniej domem, zmniejszonych rozmiarów. U niektórych ludów np. u Etrusków, przybiera nawet kształt łoża.

Grobowiec w kształcie łoża rozpowszechniony jest szczególnie w wiekach średnich. Na łożu takim spoczywa wyobrażenie zmarłego, w postawie leżącej, w szatach paradnych. Łoże początkowo dosyć wysokie, stopniowo się zniża; zostaje prostą płytą kamienną, aż wreszcie w czasach nowoczesnych znika zupełnie. Z punktu widzenia ogólnego, pominąwszy niektóre wyjątki, można twierdzić, że architektura, będąca w pierwszych wiekach zasadniczym pierwiastkiem i prawie wyłącznym piękną grobowców, stała się później pierwiastkiem podrzędnym i w końcu znikła całkowicie z estetyki grobów.

W przeciwieństwie wyobrażenie zmarłego nabierało coraz większego znaczenia.

W grobowcach egipskich postacie zmarłych mają wygląd ciężki, monumentalny, ponieważ narzędzia, któremi rozporządzał artysta, pierwotne i niedoskonałe, nie były odpowiednie do kucia w marmurze i kamieniu.

Kiedy jednak rzeźbiarz, lepiej zaopatrzony i mający do czynienia z materiałem posłuszniejszym, potrafił wydobyć z niego wszystkie anatomiczne szczegóły ciała ludzkiego, — postać zmarłego stała się głównym elementem w grobowcach.

W starożytności zmarły był zawsze przedstawiany, jako żywy w otoczeniu swych blizkich; wszystkie sceny wyobrażone na pomnikach tchnęły życiem. W sztuce grecko-rzymskiej podobizna zmarłego zamieszczana była tylko na medalionach, zazwyczaj okrągłych, w otoczeniu scen myśliwskich, wojennych i t. p., które służyły za dekoracje do sarkofagów, lecz zawsze zmarły przedstawiony jest, jakby żył jeszcze.

Chryścjanizm nie przyniósł zmian w formach dotąd przyjętych. Przejęci przedewszystkiem troską o chwałę duszy w wieczności,

pierwsi chrześcijanie nie zajmowali się zbyt grobami i nie usiłowali odjąć im cech nałożonych przez poganizm.

Z chwilą odrodzenia rzeźbiarstwa w średnich wiekach, za sprawą Jana z Pizy, umarły zaczyna być przedstawiany w postawie osoby uspionej snem głębokim. Niesłusznie utrzymują niektórzy, że średnie wieki zohydziły śmierć i natchnęły ludzkość obawą wieczności a raczej zaświata, nieznaną w starożytnych czasach. We wszystkich krajach chrześcijańskich wyobrażenie zmarłego robi wrażenie pogodnego spokoju. Umarły spi w postawie człowieka, który się rozbudzi, a po rozbudzeniu powróci do swoich zajęć i życia codziennego. Szkarada trupa, nagłość szkieletu, wynaturzenie fizyognomii, groza sądu ostatecznego, obrazy zemsty Bożej, wizje mąk wieczystych, zjawiają się później dopiero w wieku XVI-ym.

W dalszym rozwoju Renesansu postać zmarłego podnosi się, opiera na rękę i rozgląda w około. Widoczne to jest bardzo, studyując kolejno groby papieży. Aż do końca XIV-go wieku, papież przedstawieni bywają w postawie leżącej, z rękoma skrzyżowanymi na łonie. Na początku 1500-go roku, widzimy Juliusza II-go z głową opartą na ręce a twarzą ku widzowi zwróconą. Wszyscy następni papieżi prostują się i wznoszą w swych grobach: niektórzy wyciągają rękę dla błogosławieństwa, lub przeklęcia, inni klęczą w skupieniu modlitwy. Wszyscy żyją i królują w grobach i pomnikach, aż wreszcie za dni naszych, Pius IX-ty zasypia i niknie w sarkofagu, przypominającym pierwsze chrześcijańskie groby w Rawennie.

Często w renesansowych pomnikach, zmarły przedstawiony jest w trakcie czytania lub zamyślenia, i tak, jak wieki średnie uzmysławiały w grobach nadzieję w śmierci, tak znowu Odrodzenie daje obraz nieskończonego smutku życia, jeżeli plastycznym wyobrażeniem trupa nie wyraża całej grozy zgonu, jak to widzimy w pośmiertnych pomnikach Henryka II-go w kościele Św. Dyonizego, Ludwika de Brézé w Rouen, Walentyny Balbiani w Luvrze.

Z tem wszystkim grób renesansowy jest zawsze pomnikiem dumy, w którym główna postać pyszni się i porusza. Ten charakter przetrzymuje się przez wieki XVII-ty i XVIII-y; śmierć wielkiego bohatera jest widowiskiem, w którym rozpacz przybiera cechy uroczystości, żale i lamentacje są kierowane przez dyrektora orkiestry, a ruchy wszelkie przez mistrza tańców.

W pomnikach pośmiertnych późniejszej epoki, nieboszczyk leży, jak w średniowiecznych sarkofagach, w postawie jednak całkiem odmiennej. W grobach średniowiecznych, umarli spią, jak osoby, które się zbudzić mają, aby zacząć polowania i bitwy. W nowoczesnych grobach przeciwnie, idzie o sen bez przebudzenia: członki są słabe, jak nigdy przedtem nie były, mięśnie rozprężone, całe ciało zdaje się pragnąć unicestwienia w łonie ziemi, na której powierzchni z trudem spoczywa. Zmęczenie życia, pokora, rezygnacja stanowią zasadnicze cechy głównej postaci w wybitniejszych pomnikach współczesnej epoki.

Tak więc wyobrażenie zmarłego zaledwie zarysowane u Egipcjan, w następnych epokach ożywia się, rozszerza, prostuje, zgina na klęczkach, aż wreszcie wznosi się w całej swej wysokości i tryumfuje w XVIII-ym wieku. Wreszcie w epoce współczesnej skłania się znowu i zasypia.

Długie czasy żywiono wiarę, że człowiek nie może żyć po za grobem, jeżeli nie towarzyszy mu żona, służba, przyjaciele, i dla tego składano z nich ofiarę na grobie. Z chwilą zaprzestania tych ofiar, uznano za niezbędny warunek przetrwania w pamięci potomnych, aby nieboszczycy występowali w otoczeniu swojej rodziny. Sarkofag egipski wystawia na widok publiczny całe środowisko zmarłego, podając jednocześnie dzieje jego wojen i życia publicznego. Sarkofag z Tanagry zawiera jeszcze szeregi taneczników, kupców i zalotników. Wokoło umarłego wre i kipi całe życie narodu.

W starożytności, we wszystkich krajach, nad morzem Śródziemnym panuje pojęcie, że na pomnikach grobowych powinna występować postać nieboszczyka na tle scen życia domowego, życia codziennego, z wykluczeniem wszelkich pierwiastków nadprzyrodzonych. Bogowie zjawiają się niekiedy, lecz zawsze oddani zatrudnieniom ludzkim.

Z biegiem wieków otoczenie nieboszczyka zmienia swój charakter. Początkowo tworzą je krewni i służba; później tłum osób oddanych najrozmaitszym zatrudnieniom, przeważnie polowaniu lub wojnie. Na grobach chrześcijańskich znika rodzina, występują Święci, apostołowie, aniołowie, czyli wielka rodzina chrześcijańska. Widzimy tam często sceny ze starego i Nowego Testamentu, lecz także wykluczony jest wszelki pierwiastek nadprzyrodzony; Chrystus, patryarchowie i osobistości biblijne, zjawiają się, jako ludzie poświęceni pracy ziemskiej.

Tak więc w grobie chrześcijańskim, jak w grobie pogańskim, otoczenie zmarłego posiada jednakże cechy charakterystyczne: tworzą je ludzie i ludzie działający.

W wiekach średnich wszystko ulega zmianie: nieboszczyk występuje na tle życia kontemplacyjnego, w otoczeniu nadprzyrodzonych istot. Aniołowie zstępują z Nieba, aby czuwać nad posągiem; Bóg w pełni Swej chwały objawia się nad głową zmarłego; Świętych widzimy w chwilach tryumfu i spoczynku, nie zaś oddanych zatrudnieniom ziemskim.

Później znacznie, powracają, w postaciach zupełnie konwencyonalnych, bóstwa poganizmu, bogowie piekieł, Parki i t. d., podczas, kiedy zimne allegorye zastępują osoby żyjące i istotne. W ciągu trzech wieków, od XVI-go do XVII-go. Umiarkowanie, Sprawiedliwość, Prawda i t. d. królują w pomnikach grobowych, składając hołdy śmierci, jęcząc, grając na trąbie, odpychając śmierci widmo.

W epoce współczesnej znikły wszystkie te postacie: żadna istota ani ze świata zwierzęcego, ani ze świata ludzkiego nie tworzy orszaku nieboszczyka. Jedynym pozostałym tego śladem jest zwyczaj zdobienia grobów kwiatami; — niektórzy jednak zabraniają składania kwiatów w ofierze na swych grobach, twierdząc, że róże nie dla marmuru stworzone, że świat roślinny istnieje

je dla żyjących, nie zaś dla umarłych, że nie wolno poświęcać ani cząsteczki bogactwa ludzkiego dla tych, którzy nie są w możności współdziałać w produkcji tegoż bogactwa.

Z punktu widzenia czystej estetyki na szczególniejszą uwagę zasługuje zastosowanie draperyi, a w tem zastosowaniu, ewolucya fałdy. U Greków, fałda była wyrazem czasem zasłoniętym, czasem silnie zaznaczonym ciałem ludzkim. W posągach greckich postać człowieka najwybitniejszego zajmuje stanowisko, a nigdzie fałda nie zasłania i nie uplastycznia równie dobrze postaci człowieka, jak w statuach grobowych.

W średnich wiekach fałda spełnia różne zadania: przedstawia ruchy i postawę. Nie mogąc dać przez nią wyrazu postaci człowieczej, zagubionej w szerokich szatach zakonnych, artysta gotycki posługiwał się fałdą dla wyrażenia ruchów człowieka i tym sposobem nie rzeźbiąc figury ani członków, zdołał przedstawiać najsilniejsze wyrazy duszy.

W czasie Odrodzenia fałda znajduje racyę bytu w swoim własnym pięknie. Uwielbia się ją dla niej samej, jako piękną powłokę, jak jaki piękny pęk roślin dekoracyjnych, jak każdą inną rzecz piękną.

W wiekach XVII-ym i XVIII-ym artysta usiłuje jaśnieć swoją zręcznością w układzie draperyi: celując w fałdach stara się przedstawić swoją wiedzę i swoją zręczność, choćby z krzywdą dla wrażenia powagi i smutku, jakim techną powinny pomniki grobowe.

Artysta nowoczesny zrozumiał niebezpieczeństwo i stopniowo zaczął upraszczać ruchy, wygięcia, falowania, woluty. Pod tym względem zbliżył się do rzeczywistości, w której [nie spotykamy ani zawilich i ciężkich draperyi upodobanych przez Berniniego, ani nawet obfitości lekkich draperyi greckich.

Tak więc, również w pierwiastkach szczegółowych draperyi dekoracyjnej, widzimy, że sztuka grobowcowa powraca stopniowo do prostoty początkowych, pierwotnych swoich przejawów.

Wład. Zar.



Z sali odczytów.



Odczyty w Muzeum.

W dalszym ciągu seryi odczytów muzealnych, na katedrze stanął po raz pierwszy w Warszawie p. Leonard Jaczewski, gość specjalnie przybyły na wezwanie sekcji odczytowej.

Za treść niezmiernie ciekawego odczytu p. Jaczewski obrał „temperaturę skorupy ziemskiej“ i odczyt swój podzielił na dwie części, czyli na dwie naukowe pogadanki.

Temperatura skorupy ziemskiej należy do działu nauk przyrodniczych, które dotychczas bardzo mało były popularyzowane i nie przeniknęły jeszcze do szerszej świadomości. Badanie zaś temperatury skorupy ziemskiej stanowi osobny poddział geologii, zwany geotermią.

O ciepłocie skorupy ziemi i jej przyczynach najrozmaitsze powstawały hipotezy. Badania doświadczalne datują się od r. 1827-go, t. j. od Cordiera i jego prac, prowadzonych

w kopalniach francuzkich. Badania w tym kierunku napotykają wielkie trudności. Zapuszczenie się w głąb ziemi, za pomocą wiercenia, doprowadzono w Pensylwanii do 1,800 metrów, w Niemczech do 1,200 m., i najgłębiej w Proszowicach na Szlązku, bo aż do 2,500 m.

Przekonano się, iż w miarę zagłębiania się temperatura wzrasta, tę zaś liczbę metrów, na którą zagłębić się trzeba, aby różnica temperatury wynosiła 1° C., nazwano gradientem termicznym. Lecz i gradient bywa różny w różnych miejscowościach i waha się pomiędzy 80° a 116°, a bywają i takie badania, które przeczą zasadzie ogólnej, t. j. takie, w których podnoszenie się temperatury w miarę zagłębiania się nie jest ciągłe, a tylko warstwowe. Badania głębin oceanu w tych samych celach były prowadzone, o ile jednak z badań tych uczeni wnioskować mogą, ciepłota wód głębinowych nie jest zależna od ciepła jądra ziemi.

Wywody, dążące do uzasadnienia hipotezy, iż początkiem ziemi była mgławica zimna, w temperaturze absolutnego zera (−273° C.) i że następnie, skutkiem przeróżnych wpływów energii słonecznej, nastąpiły przekształcenia, doprowadzające stopniowo bryłę ziemi do zupełnej stałości, stanowiły główną treść drugiej części odczytu, wygłoszonego we dwa dni później, t. j. 14-go b. m.

Przekonanie, jakoby jądro ziemi miało być płynne, nie jest uzasadnione, wszystkie zaś objawy życia geologicznego, rozpoczynające się z chwilą powstania pierwszej kropli wody, dają się wytłómaczyć bez uciekania się do przypuszczalnej płynności jądra ziemi.

Olbrzymia moc wiedzy specjalnej nagromadzona w ciasnych ramach dwóch odczytów, zmuszała prelegenta do streszczania się do możliwych granic, a mimo to odczyty p. Jaczewskiego dażyły stale w raz obranym kierunku, w kierunku popularnego przedstawienia trudnych prawd, obalających od gruntu, zakorzenione od dawna przekonania.

Do jasności wykładów nie mało przyczynił się język nader piękny i czysty. Gorące uznanie było podzięką za ucztę, jaką gość publiczności naszej wyprawil.

W szeregu odczytów Towarzystwa higienicznego, d-r Maryan Roszkowski mówił „o krzywicy, czyli chorobie angielskiej.“

Jest to kłeska, która u nas dotyka 50% dzieci, należy się więc Towarzystwu higienicznemu uznanie, że już drugi raz (w zeszłej seryi odczytów o krzywicy mówił d-r Brudziński, którego pracę drukowaliśmy niedawno w naszym piśmie), porusza tak ważną sprawę w odczytach publicznych. Atoli, niestety, jednocześnie należy wyrazić zdziwienie, że publiczność, zwłaszcza panie nasze, tak słabo usiłowania Towarzystwa popierają. Przecież tu chodzi o wychowywanie w zdrowiu i sile przyszłego pokolenia.

Odczyt w Sali Ratuszowej.

Odczyt na rzecz Osad Rolnych, zaznamiający publiczność ze sprawą „własności literackiej w prawie międzynarodowym,“ mniej liczną, niż poprzednie odczyty zgromadził publiczność. Dziwić się temu bardzo nie można, albowiem temat, zajmujący bez wątpienia dla literatów, dla szerszej publiczności był zbyt specjalny i zbyt obojętny.

Prelegent skreślił dzieje przemian, jakim podlegało pojęcie o prawach autorskich, począwszy od drugiej połowy XVIII-go wieku. Dzieje te podzielić można na trzy okresy: system przywilejów, ochronę własności literackiej w granicach danego kraju i wreszcie ochronę międzynarodową.

Ostatni z tych okresów zaznaczył się już, po długich usiłowaniach ludzi dobrej woli, zdarzeniem niezmiernie ważnym, a mianowicie

utworzeniem związku państw dla ochrony własności literackiej.

Myśl utworzenia tego związku powstała podczas kongresu prassy w Rzymie w r. 1883-im i stała się czynem w r. 1886-ym. W Bernie, dzięki gorliwemu zajęciu się tą sprawą przez rząd szwajcarski, powstało biuro międzynarodowe, utrzymywane kosztem państw, które przystąpiły do związku.

Rossya, Austria i Stany Zjednoczone nie zgodziły się dotąd na przystąpienie do związku, t. j. na zawarcie konwencji z innymi państwami. Należy jednak mieć nadzieję, iż wkrótce już świat cały uzna konieczność zapewnienia pracownikom pióra ochrony przeciw „korsarstwu“ literackiemu, pozbawiającemu ich należnych im zysków.

Zofia S.



Z listów do „Bluszczu.“



Kraków, w Kwietniu.

Kraków nawiedzony powodzią... odczytów najrozmaitszej treści, barwy, osnowy, pławi się, nie tonąc jednak w tej ruchomej fali i żeglując bez szkody po rozległym morzu wiedzy. Publiczność wszelkiego wieku i stanu doбира sobie łódź stosowną do pojęć i upodobań swych, powierza się rozmaitym sternikom i flagom; czasem więc powiewa ognisty sztandar wymownego przewódcy partii socjalnej, to znów nęci czarna sutanna mądrego Jezuitę lub fantastyczna fryzura młodej rzeczniczki postępu. Mówią doktorowie i doktorzki filozofii, medycyny, prawa, odzywają się poeci, artyści, uczeni — słowem, zarówno myśliciele i specjaliści, jak równouprawniona „pleć piękna i t. zw. „szeroki ogół“ napawają się u krynicy, bijącej wartkim strumieniem z pod stóp Wawelu. Słuchamy więc Rydla „o Ibse- nie“ (25—27 odczytów), godzimy się z wykwintnym rzecznikiem humanizmu (prof. Morawski) na korzyści nieporównane klasycznego wychowania młodzieży, zagłębiając się z ks. d-rem Gabryłem w „Genezę naszego poznania,“ dowiadujemy się ciekawych tajemnic z życia pajaków (Wł. Kulczyński), albo uczymy się wytwarzać gaz świetlny (Tołłoczko). O „tragediach szekspirowskich“ rozpowiada nam Flach; Karbownik poucza o systemach wychowawczych, toż samo Mazanowski i Opuszyński. Sinko wymownie kreśli dzieje „starożytnego romansu,“ Bylicki z dziedziny muzyki tematy obrabia z właściwą sobie swadą. Znani historycy, jak d-r Cermak (o „Dyable Łańcuckim“), Tokarz i inni, zciągają licznych słuchaczy płci obojej (wszędzie jednak „nadobna“ liczebnie przeważa). Jednym słowem: kształcimy się na zabój, a niepodobna wyczerpać całej listy prelegentów i prelegentek tegorocznych.

Nie oddalimy się zbyt daleko od tej dziedziny, wspominając o nowo-założonych czytelniach, jak piękna, jasna, skromnie w guście ludowym (z malowaną skrzynią i sosnowymi stołami) przyozdobiona biblioteka „Uniwersytetu ludowego“ (przy ulicy Grodzkiej), gdzie zauważyliśmy 64 czasopism polskich, 20 niemieckich, 12 rosyjskich, prócz francuzkich (5), angielskich, czeskich i t. p. Oprócz stałych członków, korzystają z niej goście za skromną opłatą.

Dla członków „Towarzystwa Szkoły ludowej“ otwarto przed paru miesiącami wypożyczalnię zaopatrzoną we wszelkie nowości. Szkoda tylko, że żaden z tych nowych, jakoteż i dawniej istniejących zakładów, nie stosuje ważnej, zagranicą przyjętej (a podobno i na Węgrzech przestrzeganej) ostrożności,

mianowicie, tak potrzebnej dezynfekcyi książek w obiegu będących. Pieniądze i książki, to przecież gniazda wszelkich bakcyliów, a jedne i drugie szybko z rąk do rąk przechodzą.

Mieliśmy też oprócz Wystawy medali i monet (w Muzeum Czapskich), skromną wystawkę projektów na ozdobienie i umeblowanie pokoju mezzego, dzięki konkursowi ogłoszonemu przez „Towarzystwo Sztuki stosowanej.“ Zapewne pisma illustrowane warszawskie poznać dadzą w reprodukcjach piękniejsze projekty mebli i dekoracyi ścian, przeważnie w duchu sztuki ludowej trzymane. Prostota linii i kształtów, jasne i jaskrawe barwy, dużo światła i powietrza, jakaś jedyności i swojskość motywów przyjemne sprawiały wrażenie na ogół.

Piękną prawdziwie jest Sala zebrań w o-wym Domu lekarskim, który przyozdobiono pod kierunkiem Wyspiańskiego. Na różowym (jak pompejańskie ściany) tle murów i sufitu pięknie odbija fryz ślicznie cieniowanych (a mniej pięknie nazwanych) „krakowiaków kaczkowanych.“ W tychże barwach utkany kilim, opasuje ku dołowi ściany, od których wspaniale odbijają szeregi oryginalnie narysowanych krzeseł z mahoni, bronzem zdobionego, także odrzwia wspaniale wyglądają, obramiając ciężkie, tkane portyery. Ciemnozielony i popielaty kolor panuje w przyległej czytelni i w salce bilardowej. Balustradę schodową zdobią olbrzymie z dwu barw metalu wykonane liście i kwiaty kasztanu, a górą biegnie fryz z tegoż motywu malowany. Ma się rozumieć, że zarówno hala wchodowa, klatka schodów, jak i sale oświetlone są elektrycznie, za pomocą wspaniałych, jak olbrzymie perły, świeczników. Z tem wspaniałem zdobnictwem pogodzić się musi nawet wróg t. zw. „nowej sztuki.“

Od tych różowych i perłowo-złocistych blasków trudne przejście do poważnych zagadnień, które zapełniły cykl odczytów, urządzonych przez grono „Matek Chrześcijańskich,“ z tego więc sprawozdanie odkładamy do osobnego artykułu.

Tu wspomnimy jeszcze tylko o dwóch sztukach, które wypełniały po brzegi istniejący od lat paru pod egidą Towarzystwa Oświaty Ludowej, Teatrzyk Ludowy (na Krowoderskiej). Były to: „Polskie Betleem“ Rydla i „Terakoja,“ tłómaczona z japońskiego i owiana szlachetnym duchem sztuczka, zarówno treścią, jak i formą różniącą się wielce od europejskich utworów, do których przywykliśmy.

M. Świd.



Kronika działalności kobiecej.



— Szkoła rysunkowa dla kobiet p. J. A. Conti.

Kierownicy szkoły, o której niedawno pomieściliśmy obszerny artykuł, z artystą-malarzem p. Austenem na czele, postanowili urządzić dla uczennic swoich i zaproszonych gości, szereg pogadanek z pokazami, odnoszących się do różnych działów sztuk plastycznych.

W dniu 16-ym b. m. odbyła się pierwsza z kolei pogadanka „o kompozycy i wykonywaniu witrażów artystycznych.“

Pogadankę, obejmującą treściwy rys historyczny rozwoju sztuki wytwarzania witrażów, począwszy od najpierwotniejszych wzorów, aż do najwyższego rozwoju w epoce gotyku, dalej zanik tej sztuki i nowe usiłowania wskrzeszenia dawnych wzorów, illustrowały liczne pokazy, różnego gatunku szkła w rozmaity sposób zabarwionego, pośród których

nie brak wielu oryginalnych, nowych i bardzo udatnych pomysłów.

Pogadankę wypowiedział w swej pracowni artysta-dekorator p. Skibiński, urozmaicając ją nie tylko samymi pokazami, lecz i demonstrując poglądowo cały przebieg wykonania, tak co do układania i dobierania kawałków szkła barwnego podług danego wzoru, jak i co do sposobu wywoływania efektów cieniowania, oraz przygotowywania sztabików, właściwie waziotkich szyn ołowianych, służących do spajania, podług wzorów wyciętych kawałków szkła.

Z prawdziwą korzyścią spędzili słuchacze kilka godzin niedzielnych na zajmującej pogadance.

— Dom św. Zyty.

W ubiegłym tygodniu odbyło się ogólne zebranie członków Domu św. Zyty, w lokalu tegoż zakładu przy ulicy Nowogrodzkiej.

Zebraniu przewodniczyła pani Hanna Kryńska, sekretarką była panna Marya Dynowska.

Po odczytaniu sprawozdania z działalności instytucji za rok 1904-ty, oraz sprawozdania kassowego i po zatwierdzeniu tychże sprawozdań, przystąpiono do rozpatrzenia wniosków, mających na celu umożliwienie rozwoju tak pomyślnie rozpoczętej, a tak nieodzownie potrzebnej u nas instytucji.

P. redaktorowa Gadomska (członek komitetu) jasno i wymownie przedstawiła zebraniem, iż przedewszystkiem szczupłość pomieszczenia stoi na przeszkodzie szerszemu rozwojowi zakładu.

W obecnych warunkach niepodobna myśleć o pomieszczeniu większej liczby wychowanek nad 20, ani o czerpaniu dochodów z prania, któreby stanowiły niezmiernie ważną dochodową rubrykę i niepodobna wydawać większej liczby obiadów, które już dziś stanowią dla instytucji dochód tak znaczny (80 obiadów dziennie), iż pokrywa koszty utrzymania personelu zakładowego. Należy więc koniecznie zakrzętać się o zmianę pomieszczenia i od Października stanąć w gotowości do sprostania szerszym zapotrzebowaniem publiczności. Projekt p. Gadomskiej, wprowadzenia trojakiemu typowi gotowania, znalazł jednomyślne, żywe uznanie.

Przy większej liczbie wychowanek (t. j. 50) wydawane będą obiady trojakiem: 12 kopiejkowe, obliczone po cenie kosztu, dla kobiet pracujących (takie same, jakie otrzymują wychowanki zakładu),— 40-kopiejkowe, czyli takie same, jak wydawane obecnie i droższe, od 60 kop., wykwinne, wychodzące z kuchni zupełnie oddzielnej, w której wychowanki, chcące specjalnie wykwalifikować się w sztuce gotowania, po ukończeniu ogólnej nauki w zakładzie, będą mogły pod kierunkiem osoby, uzdolnionej fachowo, uczyć się przyrządzania najwykwintniejszych potraw, ubierania półmisków i stołu, podawania i t. p., i gdzie panie i panienki z miasta będą też mogły nabywać wiadomości w zakresie sztuki kulinarnej wychodzących, czyli zapisywać się na kurs kucharstwa.

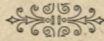
Komitet, który na rok bieżący pozostaje bez zmiany, z inicjatorką zakładu, p. Br. Kuczyńską na czele, z otuchą i dobrą wiarą zabiera się do dalszej działalności. szląc w imieniu dziewcząt, szukających godziwej pracy i w imieniu tak potrzebnej u nas instytucji, gorącą odezwę do naszych pań i gospodyń o poparcie i o pamięć serdeczną a obywatelską dla Domu św. Zyty.

Obecny majątek zakładu jest jeszcze bardzo skromny. Dochód, na który składają się: ofiary w gotowiznie, wpływy za obiady, opłata za dziewczynki (ta tylko 43 rub.) i t. p. wynosi — rubli 3,682; rozchód (komorne, opłata personelu, opał, światło, urządzenie i t. p. — rubli 1876, czyli na przewyżkę pozostaje rubli 1,804.

Fundusz żelazny	rubli 1,000
„ obrotowy jak wyżej	
w gotowiznie	„ 1,804
„ w ruchomościach	„ 1,276

Uchwalono nadto, aby poczynić starania o zmianę nazwy Domu św. Zyty, na Dom św. Kingi, a to w celu położenia końca wszelkim nieporozumieniom, wynikającym z powodu istnienia drugiego zakładu pod tą samą nazwą, a który, aczkolwiek odmiennego typu, bywa jednak brany za jedno z Domem św. Zyty.

Z. S.



Kroniczka.



— Wydział II-gi Warszawskiego Towarzystwa Ochrony kobiet, mającego na celu „dostarczanie uczciwej pracy“ potrzebującym, istnieje pod przewodnictwem p. Eugenii Gutmanowej przy ulicy Mazowieckiej № 11 i poleca bezinteresownie kassyerki, ekspedientki, bony, osoby do zarządu domem, do towarzystwa, pielęgniarki, massażystki, gospodynie i służbę wszelkiego rodzaju. Członkinie Towarzystwa same zajmują się sprawdzaniem kwalifikacji osób protegowanych. Rozwój instytucji zależnym jest całkowicie od zapotrzebowania pracowni, dlatego polecamy ją gorąco opiece i poparciu ogółu.

— Instytut Hygieny Dziecięcej imienia barona L. de Lenvala (Litewska № 16) wydał znakomite „Rady dla matek“, skreślone przez d-ra Stanisława Kopczyńskiego, które śmiało możnaby nazwać dziesięciorgiem przykazań higieny społecznej.

Co robić, aby zapobiedz chorobom nerwowym u dzieci? Przyczyny ich tkwią nieraz w samych rodzicach i oni tę dziedziczną puściznę częstokroć swym dzieciom przekazują. W celu zapobiegania nerwowym chorobom u dzieci, matki powinny spełniać poniższe przepisy.

Pozwalamy sobie przytoczyć je na tem miejscu w streszczeniu, jako bardzo cenne wskazówki.

1. Strzedz niemowlę od wypadnięcia z kołyski lub łóżeczka, od upuszczenia z rąk, gdyż wstrząśnienie mózgu spowodowane przez upadek, może wywołać konwulsje, być przyczyną głuchoniemoty, paraliżu i innych chorób nerwowych.

2. Przez cały czas karmienia nie pić napojów wysokowych, alkohol (spirytus) bowiem przechodzi w pokarm, powodując u niemowląt bezsenność i różne nerwowe objawy.

3. Starać się, aby dziecko należycie spało. Sen jest dla mózgu tem, czem pokarm dla całego ciała. Przyzwyczajając niemowlę, by zasypiało bez kołysania, bez usypiania, zwłaszcza sztucznego, np. makowcem. Niemowlę powinno spać jak najwięcej. W 2-im, 3-im i 4-ym roku powinno sypiać 11¹/₂ godziny w ciągu dnia i 12 godzin w nocy. Od 5-go do 10-go roku wystarcza sypiać od 8-jej wieczorem do 7-jej rano.

4. Nie bawić zanadto niemowlęcia, co chwila zagadując i pokazując mu coraz to nowe przedmioty. Gdy poczyna mówić, nie zadawać mu wciąż pytań. Najlepiej, gdy dziecko male bawi się samo i gdy mówi, kiedy chce. Mózg dziecka i bez tego bardzo pracuje i szybko się męczy.

5. Pod żadnym pozorem nie dawać dzieciom i młodzieży żadnych trunków (wódki, wina, piwa). Alkohol jest dla dzieci silną trucizną. Mleczną kawę i lekką mleczną herbatę można niekiedy dawać starszym dzieciom. Najzdrowszy napój stanowi woda i mleko. Dzieciom do lat dwóch najlepiej mięsa nie dawać.

6. Od pierwszego roku życia przyzwyczajając dzieci do spania i leżenia z rączkami na koldrze.

7. Nie pozwalać dzieci straszyć, np. przez nagłe krzyknienie, przez opowiadanie strasznych historii, przez przebieganie się i nakładanie dziwnych masek. (Nie trzeba dodawać, że ustawiczne prześladowanie dziecka: dziadem, żebrakiem, kominiarzem, nie jest ani pedagogicznym, ani higienicznym. (Przyp. Red.).) Przestraszyć wywołać może konwulsje, które pozostają nieraz na całe życie. Przyzwyczajając dziecko do znoszenia ciemności i samotności, unikać widowisk teatralnych i cyrkowych przynajmniej do lat dziesięciu.

8. Nie pozwalać dzieciom znęcać się nad zwierzętami, gdyż to wyradza złe instynkta i drażni ich nerwy.

9. W postępowaniu z dziećmi zachować takt, dobroć, cierpliwość i wyrozumiałość. Nigdy ich nie bić i nie straszyć biciem.

10. W razie wystąpienia objawów nerwowych, jak bezsenność, silny niepokój, konwulsje i t. p., zawezwać niezwłocznie lekarza.

— W kościele po-Karmelickim w Warszawie na Krakowskim-Przedmieściu wmurowano w dniu 15-ym b. m. tablicę z popiersiem naturalnej wielkości, odlanem z brązu, ku czci ś. p. Józefa Keniga, b. redaktora, literata i publicysty. Pomnik ten wykonany został przez artystę-rzeźbiarza Teofila Godeckiego, na zamówienie redakcji „Słowa.“

— Sekcyja kobieca miejska Warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego, zostająca pod przewodnictwem p. Maryi Henrykowej Sienkiewiczowej, której jako sekretarka dopomaga p. Stefania Walerowa Kronenbergowa, powzięła myśl utworzenia ogródków dla dzieci, nie mogących korzystać z wyjazdu na lato. Będzie to rozrywka połączona z celem pożytecznym. Na placach Towarzystwa Ogrodniczego w Bagateli urządzi się 120 zagoników po 12 łokci długości i 2 szerokości. Na zagonikach tych dzieci pod kierunkiem fachowego ogrodnika będą prowadziły ogródki warzywno-kwiatowe. Dostaną w tym celu narzędzia i nasiona gotowe. Zajęcia rozpoczyna się dnia 9-go Maja i trwać będą przez pięć miesięcy codziennie od 4¹/₂—6¹/₂ wieczorem. Koszt wynosi za całość zajęć jednego rubla. Zapisy dzieci do lat dziesięciu przyjmuje kancellarya Towarzystwa do dnia 29-go b. m. w godzinach od 5—7 wieczorem.

— W Berlinie poetkę naszą, Maryę Konopnicką, spotkał zbiorowy festyn ze strony osiadłych tamże Polaków. Między zgromadzonymi redaktor „Dziennika Berlińskiego“ i córka wieszczki, p. Laura Pytlińska, wygłosili jej utwory poetyczne.

— W dniu święta, wesela, pokoju i wiosny, zjednoczenia serc bratnich, gdy w gronie naszych drogich i blizkich ucztować będziemy — pomyślimy o biednych, o przynależnej im częście, a zwłaszcza pamiętajmy o biednych dzieciach!

— Dnia 8-go b. m. zmarł w Zagrzebiu ks. biskup Józef Jerzy Strossmayer, który odgrywał wybitną rolę polityczną i odznaczał się śmiałością swoich przekonań. Wsławił się jako niepopolity mówca i działacz społeczny. Pochodził z rodziny włościańskiej. Dożył sędziwego wieku lat 90.

— Dnia 8-go b. m. zakończył życie w Warszawie ś. p. Edward Poznański, b. pedagog i przedstawiciel zarządu Warszawskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego, oraz kassy emerytalnej kolei Warsz.-Wiedeńskiej.

— Dnia 14-go b. m. zmarł w Krakowie ś. p. d-r Zbigniew Kniaziołucki, kierownik działu literackiego „Czasu“ i skryptor Biblioteki Jagiellońskiej. Współpracował w wielu wydawnictwach dzieł cennych, kryjąc swój udział w cieniu i stojąc na uboczu. Z prac osobno wydanych największą wagę ma źródłowa praca o „pierwszych latach panowania Jana Olbrachta“, a nieco później dzieło wydane przez Akademię Umiejętności „Materiały do biografii Mikołaja Reja“, z cenną przedmową pióra d-ra Kniaziołuckiego.

— Złożono w Administracyi naszego pisma dla bardzo chorej na płuca i gardło nauczycielki z matką sparaliżowaną:

P. H. B. z Tomaszowa Rawskiego rubli 3, p. Marya Grudzińska z Lubaru kop. 50; Ap. Ol. „Ziarnko do ziarnka“ kop. 10.

Treść numeru:

Alleluja! — Sital! przez Zofię Seidlerową. — „Święcone“, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Joan. VIII, 1—12, powieść, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Władze Ciele... (wiersz), przez Zygmunta Rózyckiego. — Historia kobiety, studjum historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Ukrzyżowali (wiersz), przez Adèle Koneczną. — Estetyka grobów, przez Wł. Zar. — Z sali odczytów, przez Zofię S. — Z listów do „Bluszczu“, z Krakowa, przez M. Świd. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 14-ty powieści „Dziennik psotnego chłopca“, w przekładzie Zofii S.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 27). — Przepisy kuchenne.

Do niniejszego numeru dołącza się rycinę kolorowaną Mód Paryskich.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za powyższe dzieło
tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Źródłem siły dla wszystkich osłabionych,

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

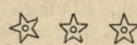
Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.
Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw.
Broszury na żądanie wysła bezpłatnie S. Karzewski,
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

Józef Jankowski.

ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora



Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

MAGAZYN

UBIORÓW DZIECIENNYCH

oraz Umundurowania dla Uczniów

Poleca

S. PRZEZDZIECKI

5. Mazowiecka 5.

WYKWINTNE KAPELUSZE

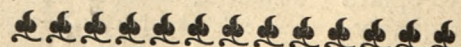
i SUKNIE ŻALOBNE

F. ŚWIEJKOWSKI

132 Marszałkowska. ☎ Telefonu 1954.

Księgarnia J. Fiszera, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przedkłej i najłatwiejszej nauki Języków Obcych, bez nauczyciela z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

- SAMUCZEK:**
- Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.
 - Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.
 - Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.
 - Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.
 - Wypisy Francuskie kop. 80.
 - Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.
 - Amerykański Przewodnik kop. 50 ma-ly 5.
 - Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.
- Nakład autora Złota 6, Warszawa.



BIURO NAUCZYCIELSKIE JAHŁKOWSKIEJ

Warszawa, Marszałkowska 118
poleca: nauczycielki, bony, cudzoziemki.

BIURO NAUCZYCIELSKIE GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.
Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

Ciechocinek.

Pensjonat „Zachęta 2-ga” na piaskach blisko kościoła, łązienek, parku. Za pokój z pościelą i utrzymaniem: 2 rb, 2.50, 3 rb., 3.50, największy 4 rb. dziennie. Zamawiać można do 15 maja: Moniuszki 9, Helena Prawdzic-Kuczalska.

Magazyn Mód

E. L O T H

Krakow. Przedm. 9, m. 4.

Poleca w wielkim wyborze

Ostatnie nowości

w Kapeluszach

na Sezon Bieżący

Ceny umiarkowane.

WYNALEZCY SUDORYNU od POTU. WYNALEZCY KAWIOL na KŁAWIATURZE. WYNALEZCY ODCISKI na KŁAWIATURZE. WYNALEZCY BROADAWKI I SKÓRĘ ZGRUBIAŁĄ na PODESZWACH. KŁAWIOL-PIYN po 30 i 50 k. KŁAWIOL-PLASTER po 35 k. STRZEŻ SIĘ NIESKUTECZNYCH, CZĘSTO I SZKODLIWYCH PREPARATÓW NIESPECJALISTÓW. ŻADAJ WSZĘDIE.

Prasuję

bieliznę męską bez szkodliwych dodatków.
Warecka № 9 m. 8.

Biedna wdowa po urzędniku uprasza Szanownych Państwa o łaskawą pomoc dla syna chorego na suchoty. Ulica Ogrodowa Nr. 52, m. 35. *Bronisława Gruszecka.*

Sierota po felczerze, kończąca szwalnię, prosi o zaofirowanie choćby najmniejszej kwoty na kupno maszyny. Łaskawe ofiary będą przyjęte z wdzięcznością. Adres: ul. Kaliksta № 4, m. 15.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 16.

№ 1. Kostium sportowy dla młodej pani.

Skromny i praktyczny sportowy kostium sprządzić można z piasek albo cienkiej flaneli w pasy, zwanej lawn-tumis, Spódnice, w około równą zakończy falbaną ułożoną w kontrafałdy, do tyłu wznosząca się stopniowo. Gładką, krytą - zapiętą koszulową bluzkę, przybiera nastębnowana plisa z niebieskiej satyny. Pliska pokrywa zapięcie, otacza kołnierz i mankiety skromnych rękawów. Wycięcie kołnierza wypełnia płócienny napierśnik ze stojącym kołnierzykiem.

Potrzeba: 10mtr. piki, albo 5 mtr. flaneli podw. szer., 1/4 mtr. satyny.

№ 2. Ubranie do żałoby, przybrane krepe.

Suknię z cienkiego kaszmiru, do lżejszej żałoby, przybierają plisy i kamizelka z krepy angielskiej. Spódnica, wykończona na oddzielnej podszewce, naszyta plisami z krepy, otoczonemi pliskami węższymi, tworzącemi przy gładkim przodzie małe zakończenie. Kamizelka pod otwartemi przodami bluzki, ułożona w poprzeczne fałdki.



№ 1 i 2. Kapelusze: wiosenny i letni dla młodej osoby.

Potrzeba: 6 mtr. kaszmiru podw. szerok., 2³/₄ mtr. krepy.

№ 3. Suknia domowa, przybrana sznurem.

Materiał: miękka w ełna w ciemno ponsowym kolorze. Spódnica ułożona w odstępach w potrójne fałdki, zastębnowane do góry. Na gładkim przodzie związanie z jedwabnego sznura w tymże kolorze naśladuje zapięcie. Podobnie jak i na przodzie bluzki, złożonym w szeroką kontrafałdę na kołnierzu. Kołnierz i mankiety przy koszulowych rękawach, również przybranych sznurem, z aksamitu w ciemniejszym tonie. Pasek z tegoż aksamitu. Napierśnik wypełniający wycięcie przy szyi z plisowanej messaliny lub chiffon.

Potrzeba: 6 mtr. materiału podw. szer., 1 mtr. aksamitu, 8 mtr. jedw. sznura, 1 mtr. koronki do oszycia rękawów i 1/4 mtr. chiffon.

№ 4. Batystowa sukienka dla dziewczynki od 4-6 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 33-39).

Sukienkę z długą luźną bluzą przybierają poprzeczne zakładki umocowane mereszkami i oszyte wąską Valencienką. Bluzka wszyta w karczek, pokryty falbaneczkami, zakończonemi tak samo jak zakładki i tworzącemi potrójny, okrągły kołnierz. Rękawki koszulowe, przybrane odpowiednio, zakończają obcisłe mankieci.



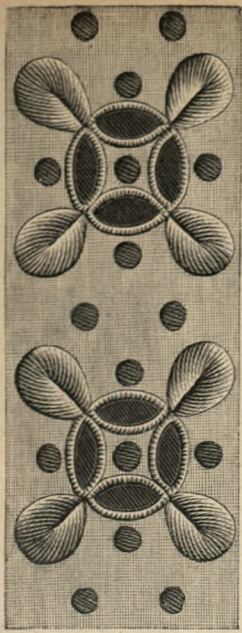
Szkic a do ryc. 4.

№ 3. Batystowa sukienka przybrana ażurowym haftem, dla młodej osoby,

№ 4. Suknia z czarnej koronki Chantilly i z haftu. (Patrz szkic a).

№ 5. Batystowa haftowana sukienka dla dziewczynki od 2-3 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 40-43).

№ 6. Letnia sukienka z taffetas w kratkę.



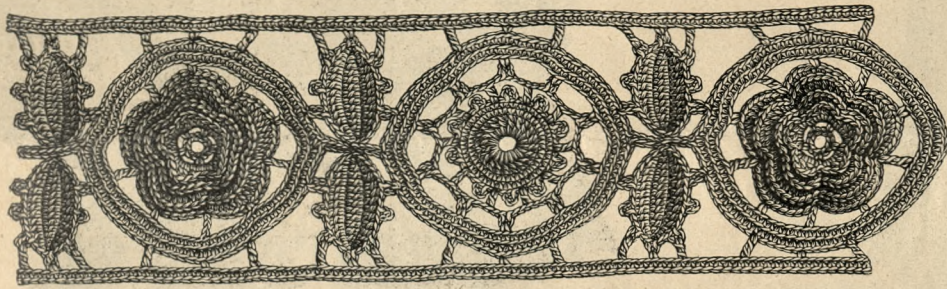
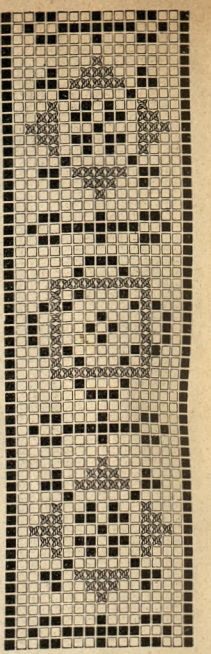
№ 18. Szlak haf-towany do ryc. 19.



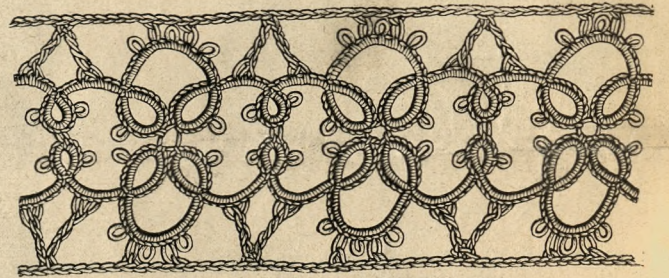
№ 19. Bluzka do prania, przybrana atlasowym haf-tem, dla panienki od 12-14 lat. (Krój od w. str. tabl. Fig. 128-131). (Patrz ryc. 18).

№ 20. Bluzka do prania przybrana, pliskami z krzyżkowym wy-szyciem dla panienki od 14-16 lat. (Krój od w. str. tabl. Fig. 133-136). (Patrz ryc. 20).

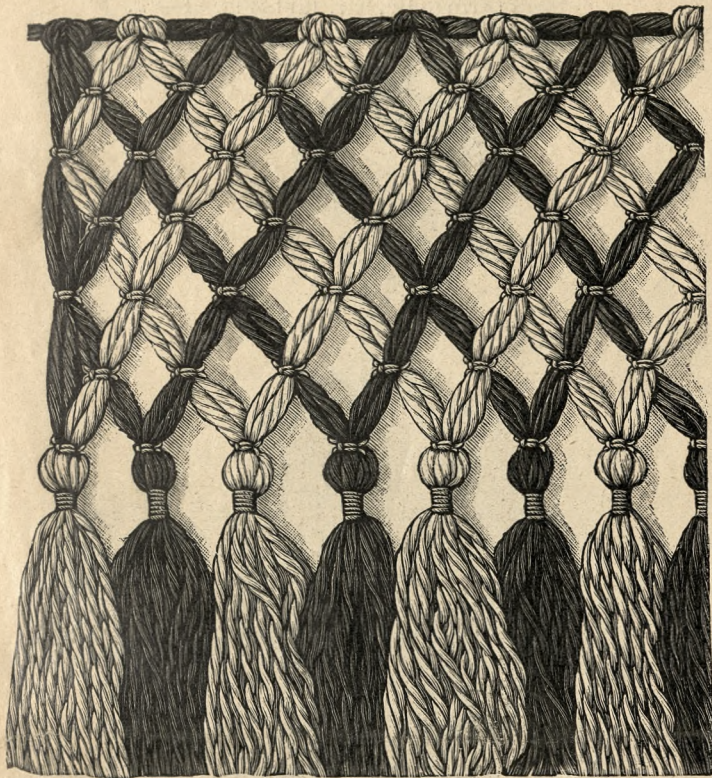
№ 21. Szlak ro-botą krzyżkową do ryc. 20.



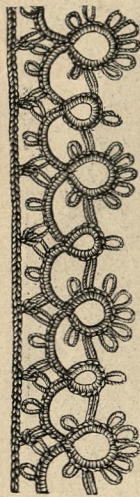
№ 22. Wstawka robotą szydelkową, naśladowująca gipiurę do ryc. 26.



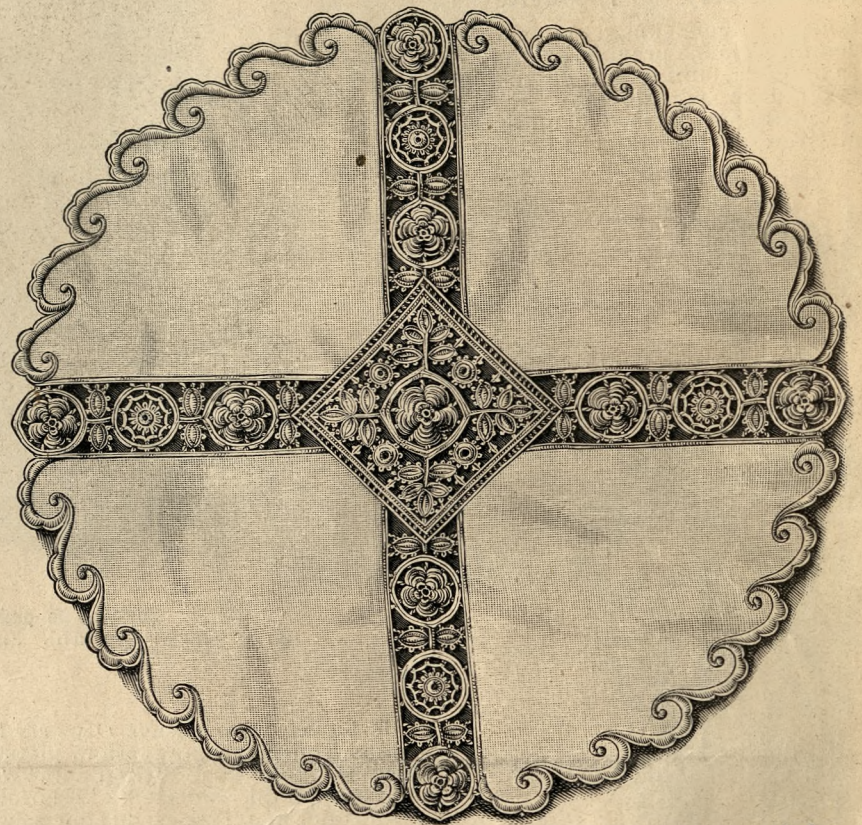
№ 23. Wstawka robotą frywolitową do bielizny. (Patrz ryc. 25).



№ 25. Frenzla wiązana w dwóch kolorach do serwet, mebli i t. p.



№ 25. Koroneczka robotą frywolitową do bielizny. (Patrz ryc. 23).



№ 26. Serweta płócienna okrągła zakończona haf-towanymi zębami i zdobna robotą szydelkową, naśladowującą grubą gipiurę. (Patrz ryc. 22 i 27).

Śniadanie Wielkanocne.

Przekąski, zimne mięsiwa, rola-dy i t. p.
Barszcz w filiżankach.
Szynka na gorąco z chrzanem.
Inyik pieczony z paszтетowem na-dzieniem.
Sałata—kompoty.
Mazurki, owoce, lody.



Śniadanie Wielkanocne.

Przekąski, wędliny, zimne mię-siwa.
Barszcz w filiżankach.
Ozory peklowane na gorąco z chrzanem.
Cielęcina pieczona z sałata.
Mazurki.



№ 27. Kwadrat robotą szydelkową naśladowującą gipiurę. (Patrz ryc. 26).